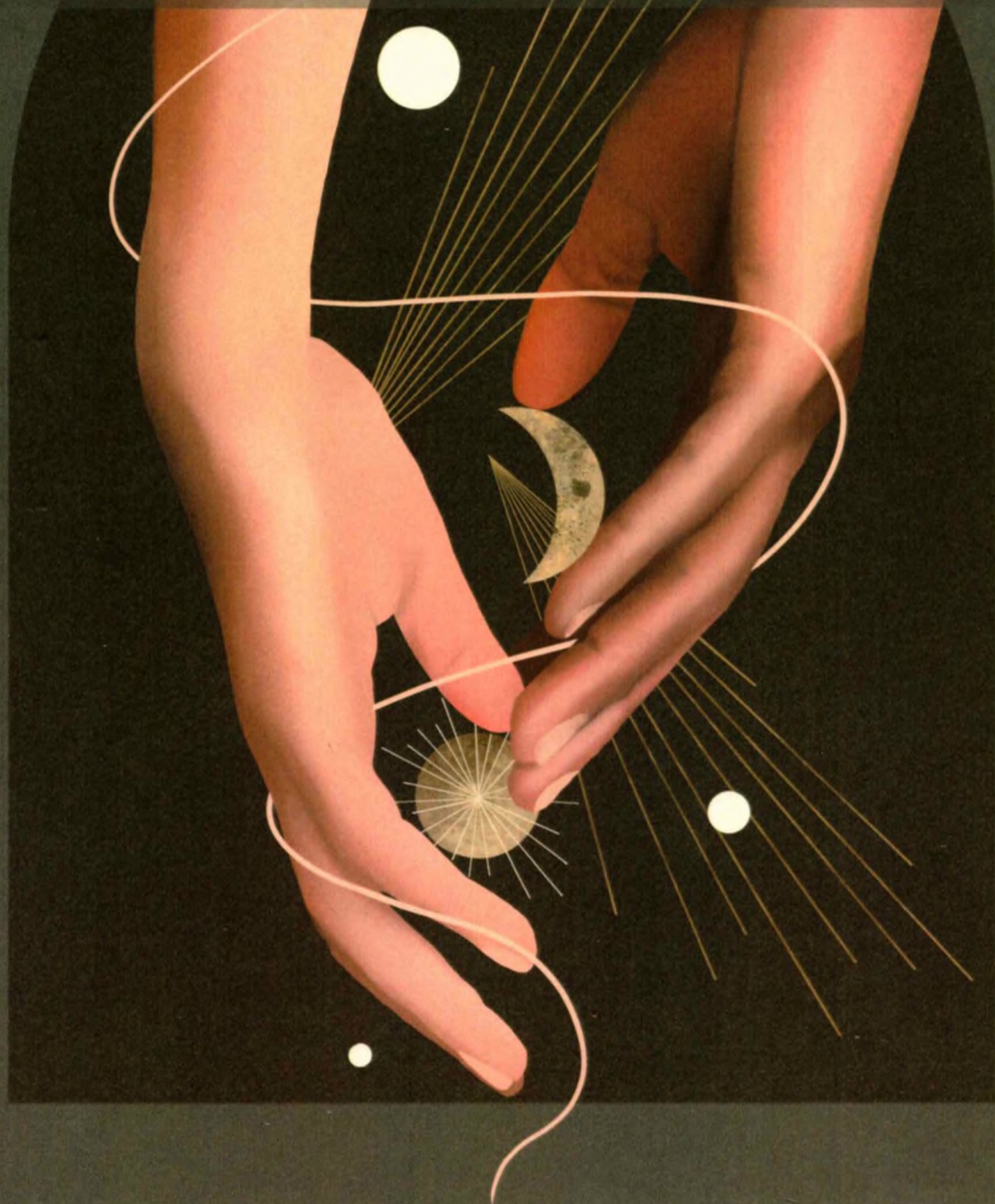


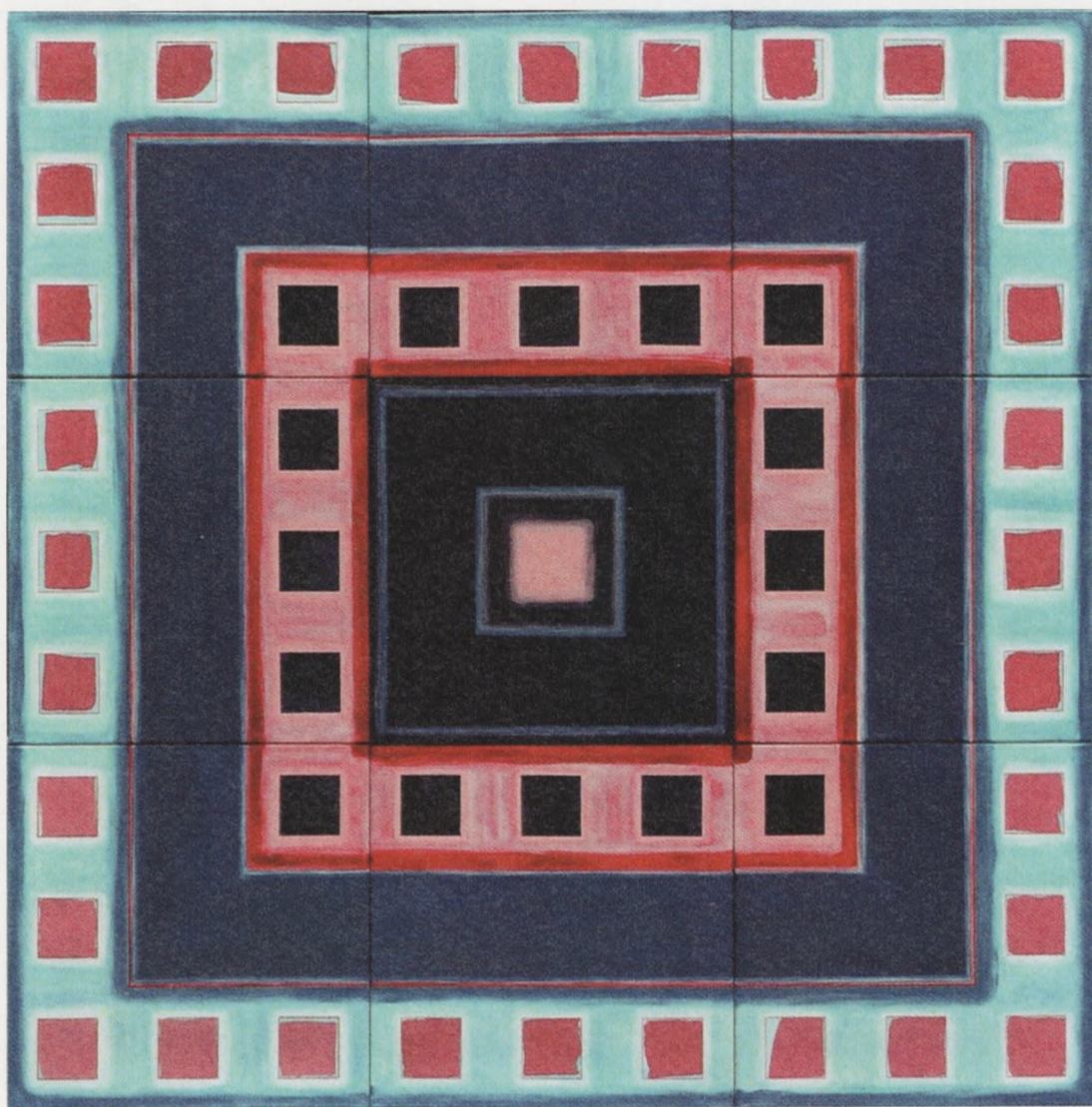
Gazeta Sremska

9-10/2021
ISSN 1232-7476
dwumiesięcznik
wrzesień/październik
XXXI
cena 5 zł



Wier

Już w październiku nowa wystawa w Muzeum Śremskim!



Piotr Adamczyk Witold Adamczyk / Teraz 79. Teraz 2 / akryl, płótno / 180 x 18 cm (9 x 60 x 60 cm) / 2016

Piotr Adamczyk
Witold Adamczyk

Podobieństwa i różnice.
Różnice i podobieństwa

W numerze



Ksiądz Franciszek Dziasek (1909-1971)

Pochodzący z Zaborowa ks. Franciszek Dziasek jest postacią mało znaną ogółowi, choć ważną, zwłaszcza dla mieszkańców Książa Wielkopolskiego i Zaborowa. Jego sylwetkę przybliży Tomasz Szymański.

str. 04



70 lat działalności Spółdzielni Mieszkaniowej w Śremie

Jesienią tego roku Spółdzielnia Mieszkaniowa w Śremie obchodzi jubileusz 70-lecia działalności. O historii spółdzielni pisze Karolina Posadzy – członek obecnego zarządu.

str. 08



Kwestionariusz kultury

Na pytania kwestionariusza kultury odpowiada Jerzy Kondras – wieloletni dyrektor śremskiej biblioteki (w tym roku przeszedł na emeryturę), człowiek wielu pasji i wielu talentów.

str. 38

Spis treści

str. 02	Muzealne odkrywki: Spalony młyn
str. 04	Ksiądz Franciszek Dziasek (1909-1971)
str. 08	70 lat działalności Spółdzielni Mieszkaniowej w Śremie
str. 12	Zapiski historyczne: Jak to w Śremie z żużlem było. Część 3
str. 16	Z pamiętnika starego: Do Wilna przez Rygę
str. 19	Na tropach lodowca... Część 12. Wydmy
str. 24	Moja mała Ojczyzna
str. 27	Jestem, więc pytam: Reasumpcja
str. 30	Opowiadanie Marty Tok: Na słodko-gorzko
str. 33	Warto przypomnieć: Kiedy umiera poeta, umiera świat
str. 35	Mój Rzym. Część 5

str. 38	Kwestionariusz kultury: Jerzy Kondras
str. 40	Nasz Talent: Krzysztof Szulc
str. 42	Kino niewidzialne: <i>Mój meksykański Bretzel</i>
str. 44	Z górnej półki: My i oni. <i>Świetlista republika</i> Andresa Barby
str. 46	Wszystko gra: O formach muzycznych
str. 48	Pory roku w malarstwie. Część 5 – jesień
str. 51	B&B przez Ameryki: „Lotem do domu”
str. 54	Okiem belfra: Zmiany, zmiany - ale czy na lepsze?
str. 55	Wieści z ratusza
str. 58	Muzeum – wydarzenia
str. 61	Biblioteka – wydarzenia
str. 62	ŚOK – wydarzenia

Katarzyna GWINCIŃSKA

Muzealne odkrywki

Spalony młyn albo promieniowanie tła

Do badań procesów, jakie zachodziły w młodym Wszechświecie, astrofizyka wykorzystuje promieniowanie tła. Odkrycie takiej możliwości poszerzenia ludzkiej wiedzy było w pewnym sensie przypadkowe. Promieniowanie zbierała antena ustawiona na odbiór konkretnych informacji z pierwszego planu, a geniusz odkrywców polegał na tym, że skupili się na zrozumieniu „szumów”, a nie ich eliminowaniu.

Dokładnie w ten sam sposób staramy się patrzeć na dawne fotografie. Tu także czasem okazuje się, że „promieniowanie tła” jest równie istotne co utrwalona na zdjęciu sytuacja. Tym sposobem m.in. udało nam się „odkryć” wizerunek cmentarza żydowskiego, przed którym ustawiała się grupa skautów w 1921 roku. A ostatnio – imponującą bryłę Młyna Parowego Muślewski i Ska w lewym górnym rogu fotografii przedstawiającej Bractwo Strzeleckie w przemarszu do Nowej Strzelnicy. Nie umiemy datować dokładnie tej fotografii. Młyn jest tu po ostatecznej rozbudowie, która – jak wynika z planów zachowanych w Archiwum Państwowym w Poznaniu – nastąpiła między 1924 a 1928 rokiem. Obraz jest tak czytelny, że pozwolił jednoznacznie zidentyfikować rysunek na papierze firmowym Max Buschner Mühlenwerke¹ z czasów okupacji. Rysunek przedstawia młyn w całej okazałości, łącznie z fragmentem pięknie utrzymanego ogrodu. Wieżyczka po przeciwnej stronie drogi to chłodnik – konstrukcja do chłodzenia pracy motoru gazowego. Młyn miał napęd motorowy co najmniej do 1924 roku, kiedy to rozpoczęto przygotowania do instalacji pierwszego kotła parowego. Po 1928 roku pracę młyna napędzały dwa kotły parowe, a motor gazowy służył do wytwarzania prądu na użytek własny i na sprzedaż. Prąd płynął do sąsiadów –

do koszar i tartaku braci Graefling, i dalej – do willi oficerskich, Wydziału Powiatowego (starostwa) i willi lekarza powiatowego dr. Tadeusza Bogackiego² przy ulicy Mickiewicza.

Rozbudowany Młyn Parowy Muślewski i Ska stał się jednym z największych w Wielkopolsce. Wartość samych nowoczesnych urządzeń wynosiła przed 1939 rokiem półtora miliona złotych. W szczytowym okresie zdolność przemiałowa wynosiła 80 t zboża na dobę, a z pobudowanej bocznicą kolejowej (obok młyna biegła linia kolejowa Śrem-Miejszków) co tydzień odchodziło 15-17 wagonów mąki, głównie na eksport do Anglii, Danii i Szwecji³. Jak wynika z rysunku na papierze firmowym, okupacyjny właściciel młyna Max Buschner potrafił przemielić 60 t zboża dziennie.

Nie wiemy, czy Max Buschner zarządzał młynem osobiście, czy przez swojego przedstawiciela. Nie wiemy, kto był tym, wielokrotnie w źródłach wspominanym, „nieuczciwym zarządcą, który podpalił młyn, by zatuszować swoje nadużycia”. 26 stycznia 1942 roku młyn Muślewskich spłonął. Zostały dolne kondygnacje zabudowań i w stanie ruiny przetrwały do lat 70. XX wieku. Widać je jeszcze w tle (!) fotografii z otwarcia dworca PKS w Śremie. Ocalał oddzielny budynek biurowy zamieniony na mieszkalny i do dziś możemy podziwiać resztki kunsztu budowniczych sprzed stu lat.

PRZYPISY

¹ Pismo z 1943 r. zachowane w archiwum Młyna S.L. Szczepski, obecnie w zbiorach MŚ.

² Stefan Chmielewski, *Dzieje Śremu*, s. 249.

³ Ibid., s. 252-253.

Max Buschner-Mühlenwerke Schrimm K.G. Schrimm (Wartheland)

Herstellung feinsten Roggen- und Weizenmehle

Postanschrift: Max Buschner, Mühlenwerke, Schrimm (Wartheland)

Leistung täglich 80 000 kg



Rysunek młyna Muślewskich na firmowym listowniku Max Buschner Mühlenwerke z pismem datowanym na 1943 rok, już po spaleniu młyna. Z lewej biurowiec, jedyny budynek ocalały z pożaru. Poniżej: przemarsz Bractwa Kurkowego na nową strzelnicę ul. Strzelecką (równoległa od dzisiejszej ul. Zamenhofs, za obiektami Strzelnicy) – z lewej strony w tle młyn Muślewskich. Fot. ze zbiorów MŚ



Tomasz SZYMAŃSKI

Ksiądz Franciszek Dziasek (1909-1971)

Ksiądz Franciszek Dziasek jest postacią, która w zasadzie nie istnieje w zbiorowej świadomości. A przecież jako syn ziemi śremskiej, dla Księstwa Wielkopolskiego oraz jego rodzinnego Zaborowa, jest obok Arcybiskupa Antoniego Baraniaka jedną z najważniejszych postaci związanych z Kościołem katolickim.

Franciszek Dziasek urodził się 5 listopada 1909 roku, a więc jeszcze w trakcie zaborów. Czas kiedy Polska walczyła o swój byt, odcisnął na nim

piętno. W jego wspomnieniach z dzieciństwa często pojawia się postać pruskiego żandarma wymuszającego posłuszeństwo na mieszkańcach Zaborowa. Dzieciństwo jednakże upływa bez troski, w wielodzietnej rodzinie (miał dwanaścioro rodzeństwa, niestety czwórka zmarła w okresie niemowlęcym). Ojciec Tomasz, matka Marianna z domu Mikołajczak, ciężko pracowali na roli w gospodarstwie, które odziedziczyli po rodzicach Marianny. Franciszek rozpoczął naukę



PROFESSORES ARCHIEPISCOPALIS SEMINARII CLERICORUM POSNANIENSIS

Sedentes a sin.: S.Hain, C.Pawlaczyk-pat.spir.I, A.Wietrzykowski, L.Pawelczak-rector, Dr A.BARANIAK-Archiepiscopus Posn., N.Mędlewski, B.Baranowski, C.Mizgalski, M.Finke.
Stantes a sin.: M.Przykucki-cap., A.Kotlański, B.Czulc, M.Kowalewski, A.Witkowiak, F.Dziasek-v.rector, I.Walczewski, M.Peter, M.Fiątkowski-pat.spir.II, J.Pytel-praef.II, A.Systry.
Stantes sec.gradu: M.Wolniewicz, M.Sanaszak-praef.I, L.Łwicińska, G.Fikulik.

„Cóżem ja jest Panie,
Iżesz mnie przywiódł aż dotąd?”
(2 Król, VII, 18).

PAMIĄTKA

Mszy św. prymicyjnej, którą
odprawił

Ks. FRANCISZEK DZIASEK

dnia 29 września 1936 r.
w kościele parafialnym
w Książu.



O Mario, Matko miłosierdzia
przyczyn się za nami.

(300 dni odpustu za każdy raz).

Pamiątka mszy prymicyjnej

jeszcze w trakcie zaborów. Do szkoły powszechnej chodził w Zaborowie i Sroczewie, taki system edukacyjny obowiązywał tam do lat 80. XX wieku. Naukę kontynuował w Gimnazjum im. gen. Józefa Wybickiego w Śremie. Gimnazjum otworzyło nowe możliwości przed ambitnym młodym człowiekiem. Patriotyzm wyniesiony z domu pogłębiał w szkolnej drużynie harcerskiej, był też czynnym członkiem Towarzystwa Tomasza Zana. Gimnazjum ukończył maturą w 1930 roku z jednym z najlepszych świadectw. W tym samym roku zgłosił się i został przyjęty do Seminarium Duchownego w Gnieźnie, którego rektorem w tamtym czasie był późniejszy współtowarzysz



Św. Stanisław Biskup
(um. 1079 r.)

Nieustraszony pasterz i obrońca uciśnionych. Zginął z ręki Bolesława Śmiałego. Spoczywa na Wawelu. Patron diecezji krakowskiej.

niedoli ksiądz Michał Kozal, powojenny biskup wrocławski. W tamtym czasie pierwsze dwa lata były okresem tzw. studiów filozoficznych, po których kontynuowano studia pogłębiając wiedzę teologiczną w Seminarium w Poznaniu – na taką też drogę był przygotowany.

Ku jego zdziwieniu zaproponowano mu wyjazd i kontynuację nauki w Rzymie na Uniwersytecie Gregoriańskim. Było to docenienie jego zaangażowania i wielkiego potencjału intelektualnego. Do Rzymu przybył 2 listopada 1932 roku. Studia skończył w 1938 roku obroną pracy doktorskiej napisanej po łacinie: *De amore amicali doctrina Ripaldaee*. Rozprawę doktorską przetłumaczono

i przygotowano do druku w Poznaniu, niestety przepadła, najprawdopodobniej została zniszczona, zaraz po rozpoczęciu działań wojennych w 1939 roku. W okresie studiów w Rzymie, Franciszek wielokrotnie odwiedzał kraj oraz rodzinne Zaborowo. Był to czas kiedy zdobywał też poszczególne stopnie wtajemniczenia kapłańskiego. Diakoniat otrzymał w Bazylice Laterańskiej w Rzymie, a święcenia kapłańskie w kaplicy Seminarium Duchownego w Poznaniu 27 września 1936 roku, z rąk biskupa Walentego Dymka i w towarzystwie kolegi Lecha Kaczmarka, późniejszego biskupa gdańskiego. Dwa dni później 29 września 1936 roku odbyła się w Księżu Wielkopolskim w obecności społeczności lokalnej oraz rodziny msza prymicyjna.

Po powrocie z Rzymu, od dnia 1 lipca 1938 roku ks. Franciszek Dziasek objął obowiązki wikariusza w kościele św. Wawrzyńca w Koźminie. Wierni wspominają, że po przyjeździe do Koźmina poświęcił się pracy z chorymi, ale też wygłaszał „bardzo mądre kazania”, niezrozumiałe dla wiernych. Po wkroczeniu Niemców do Krotoszyna wszystko się zmieniło. Zakazano odprawiania nabożeństw, z wyjątkiem mszy niedzielnych i pogrzebowych, na które trzeba było mieć zezwolenie. Wprowadzono godzinę policyjną. Ksiądz Franciszek mieszkał w domu parafialnym, a tuż za ścianą była sala, na której regularnie urządzano wiece hitlerowskie. Musiał wtedy udawać, że go nie ma, ponieważ często był obiektem agresji.

12 marca 1940 roku rozpoczął się najgorszy okres w jego życiu. Nakazano mu stawić się w siedzibie Gestapo, wraz z innymi księżmi z kilku okolicznych powiatów. Został zatrzymany i skierowany przymusowo do majątku Bruczków koło Borku Wielkopolskiego. W Bruczkowie panował względny spokój, można było czytać książki, uczyć się, wymieniać poglądy. Oprócz tego pracowali na roli np. pomagając przy żniwach. Niemcy zastanawiali się wtedy jeszcze co z nimi zrobić. Po pięciu miesiącach wszystko się zmieniło. Postanowiono i wykonano coś co do historii przeszło pod nazwą Intelligenzaktion i było wyrokiem wydanym na polską inteligencję, w tym księży katolickich. Szacuje się, że w wyniku tych działań śmierć poniosło od 30 do 40% katolickiego kleru. 15 sierpnia 1940 roku w dzień święta Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Bruczkowie pojawiły się dwa ciężarowe samochody z uzbro-

joną obstawą, sprawdzono personalia więźniów, pozwolono zabrać niezbędny bagaż, a następnie załadowano na samochody, które ruszyły w kierunku Poznania. Tego samego dnia samochody z więźniami dotarły do wyjątkowej katowni, o której do niedawna wiedzieliśmy bardzo mało. Było to miejsce jak ze złego snu, miejsce w którym żywot swój kończyła duża część intelektualnej elity Wielkopolski, ale też wszyscy którzy podpadli jakkolwiek nazistom. KL Posen Fort VII do dziś budzi grozę, którą potęguje nasza niewiedza, spowodowana zniszczeniem dokumentacji dotyczącej tego miejsca oraz zeznania poszkodowanych pierwszego obozu koncentracyjnego usytuowanego na terenie Polski.

Jeszcze przed świtem załadowano transport do pociągu, który ruszył w kierunku Niemiec. KL Buchenwald, w którym otrzymał numer obozowy 3994 to trzymiesięczny okres grozy, którego nie przetrwała znaczna część osób z transportu, którym tam dotarł ksiądz Dziasek. To były trzy miesiące, które jak sam mówił przetrwał bo był młody, silny i zaprawiony przez pracę na wsi. Po tym czasie wszystkich wywieziono do KL Dachau.

Dotarli tam 8 grudnia 1940 roku. Obóz opuścił ksiądz Dziasek wraz z wyzwoleniem 29 kwietnia 1945 roku. Pominę okres kiedy tam przebywał, jednakże zachęcam wszystkich do lektury *Pamiętnika czasu pogardy*, autorstwa księdza Dziaska. Wspomnę tylko, że wielką pomoc okazali parafianie z Krotoszyna oraz rodzina, zwłaszcza siostra mieszkająca w Księżu Wielkopolskim, Rozalia Szymańska, którzy wysyłali paczki i listy, pozwalające przetrwać ten straszny czas.

Ksiądz z listów dowiedział się, że nie był jedyną w rodzinie ofiarą represji. Rodziców wraz z najmłodszym rodzeństwem oraz sąsiadami Niemcy skazali na wygnanie. Rodzinę Dziasków w październiku 1940 roku wywieziono na wschodnie rubieże województwa lubelskiego. W początkowym okresie wysiedleńcy także odczuli głód i chłód, kolejne lata pozwalały jednak na wsparcie i pomoc dla bardziej potrzebującego.

Ze względu na stan zdrowia nie od razu po wyswobodzeniu ks. Dziasek powrócił do kraju. Do 13 sierpnia 1946 roku przebywał we Freudenthal, gdzie był kapłanem w szpitalu i opiekunem ludzi wypędzonych z Weisenbergu. Po powrocie do kraju przez miesiąc pełnił funkcję prefekta Gimnazjum im. Paderewskiego w Poznaniu.

V

Konzentrations-Lager Buchenwald

Ob. Konz. Buchenwald

Familienname: <u>D z i a s e k</u> Vorname: <u>Franz</u> geb. am <u>5.11.09.</u> in <u>Hermannsdorf</u> Beruf: <u>Geistlicher</u> Religion: <u>kath.</u> Staat: <u>Polen</u> verh., led., gefch., verw. - <u>Kinder</u> letzter Wohnort: <u>Koslin Krs. Krotoschin</u> Adr. d. nächsten Angehörigen: <u>Vater: Thomas D. Hermannsdorf Post Tiefenbach</u>		Pole Häftling Nr. <u>3994</u> Feldpost Schutzhaft angeordnet: am: <u>12.3.40</u> durch (Verhöre): <u>Stapol. Posen</u> Bisherige Parteizugehörigkeit: <u>keine</u> Vorstrafen: <u>keine</u>	
Grund: <u>1st Intelligenzler, seine Person ist geeignet Mittelpunkt eines Widerstandskreises zu werden.</u>		eingeliefert: <u>16.8.40.</u> entlassen: überführt: <u>- 6. XII. 1940</u> <i>Polen</i> zurück:	

(Stempel)

Ka. 2 21139 S

Karta identyfikacyjna księdza z obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie

Wraz z rozpoczęciem roku akademickiego 1946/1947, 1 października rozpoczął karierę naukową, początkowo jako wykładowca teologii fundamentalnej i dogmatycznej w Seminarium Duchownym w Gnieźnie, a od 1 października 1947 roku w Poznaniu. W 1950 roku został wicerektorem, nadal pełnił jednak rolę wykładowcy. Lubił uczyć, poświęcał czas pogłębianiu swojej wiedzy, był czynnym uczestnikiem wielu kół naukowych. Owocem jego pracy naukowej było 90 publikacji, w tym takie dzieła jak *Stwórca natury i dawca łaski. Traktat dogmatyczny* (1959), *Jezus Chrystus. Boski Posłaniec. Traktat chrystologiczny* (1962), *Jezus Chrystus. Zbawcze misterium. Traktat soteriologiczny* (1962), *Księga życia Bożego. Traktat dogmatyczny o łasce* (1970). Czas wojny odcisnął piętno na życiu księdza Franciszka. Nie był osobą skłoną do użalania się nad sobą, ale zarówno zdrowie jak i wspomnienia czasu pogardy towarzyszyły mu do końca jego dni. Będąc już u schyłku życia,

chorując, napisał za namową znajomych i przyjaciół *Pamiętnik czasu pogardy*. Zachęcam do poszukania w rodzinnych bibliotekach, może w bibliotekach lub antykwariatach, ponieważ mimo dwóch wydań niełatwo dostać tę pozycję. Wielu emerytowanych już obecnie księży chętnie wspomina „swojego profesora”, a kiedy mówię, że jestem z jego rodzinnego Zaborowa, opowieści płyną same. Wyłania się z nich obraz ciepłego, niezwykle inteligentnego i bardzo wymagającego człowieka. Po dziś dzień Zaborowo jest z niego dumne.

Zmarł w Poznaniu, 8 października 1971 roku. Pochowano go na Cmentarzu Miłostowo w Poznaniu, w kwarterze Kanoników Kapituły Metropolitalnej. W 2021 roku przypada 85. rocznica święceń kapłańskich oraz 50. rocznica śmierci ks. Franciszka Dziaska.

Karolina POSADZY

70 lat działalności Spółdzielni Mieszkaniowej w Śremie

Jesienią tego roku Spółdzielnia Mieszkaniowa w Śremie obchodzi jubileusz 70-lecia działalności. Największa śremska spółdzielnia powstała w 1951 roku na bazie trzech tzw. Domów Urzędniczych przekazanych nieodpłatnie przez Poznańską Spółdzielnię Mieszkaniową. Od roku 1957 Spółdzielnia Mieszkaniowa w Śremie włączyła się do realizacji zadań w zakresie budownictwa mieszkaniowego, realizując jeden z podstawowych elementów ogólnokrajowej polityki – mieszkanie dla każdej rodziny. Zapotrzebowanie na przydział mieszkań było bardzo duże. Tak powstało pierwsze nowe osiedle na ul. Buczka (dziś Kilińskiego), w skład którego wchodziły 3 budynki z 56 mieszkaniami. W kolejnych latach 1964–67 wybudowano cztery bloki mieszkalne, pawilon handlowo-usługowy, kotłownię c.o. i garaże przy ul. Poznańskiej. W roku 1963 zapadła decyzja o budowie Odlewni Żeliwa w Śremie, co spowodowało dynamiczny rozwój społeczno-gospodarczy miasta i jego infrastruktury. Lata 1963–1966 to okres przygotowania największej jak dotąd inwestycji Spółdzielni Mieszkaniowej w Śremie – osiedla nazwanego na etapie projektowania i początków realizacji „Osiedlem HCP”, później „Jezioranami”. Do 1986 roku na Jezioranach oddano do użytkowania 3906 mieszkań. W późniejszym okresie powstały kolejne osiedla przy ul. 1 Maja oraz „Helenki”. Budowa tego drugiego rozpoczęła się w lipcu 1986 roku i została zakończona w roku 1998. Spółdzielnia realizowała politykę mieszkaniową nie tylko w Śremie. Po przyłączeniu się spółdzielni w Kórniku do Spółdzielni Mieszkaniowej w Śremie, przygotowano plan inwestycyjny budowy osiedla im. Stanisława Staszica w Kórniku. W latach 1973–1976 wybudowano tam 306 mieszkań. W latach osiemdziesiątych Spółdzielnia Mieszkaniowa

w Śremie znów rozszerzyła terytorialnie swoją działalność, realizując nową inwestycję mieszkaniową w Książu Wlkp. Przejęła dla swoich członków trzy istniejące budynki przy ul. Nowomiejskiej 4, 6, 8, wybudowane w latach 1976, 1977, 1981, a w latach 1982–1992 wybudowała w Książu Wlkp. kolejne 6 budynków. Lata 90. to lata wielu zmian w spółdzielczości. W tym okresie działalność spółdzielni przebiegała w nieustabilizowanych realiach ekonomicznych. Ze względu na kształtowane prawo, jej działalność w zakresie budownictwa nowych mieszkań na wiele lat ustała. Wzmocniony rozwój motoryzacji i pojawienie się na ulicach coraz większej liczby pojazdów samochodowych, wymusiło potrzebę budowania miejsc parkingowych i garażowych. W roku 2001 Spółdzielnia Mieszkaniowa w Śremie została uhonorowana przez Prezesa Urzędu Mieszkalnictwa i Rozwoju Miast nagrodą za zasługi w rozwoju budownictwa mieszkaniowego w Polsce. Najważniejszą inwestycją realizowaną od roku 2004 przez spółdzielnię była termomodernizacja budynków. Tworzenie systemu racjonalnej gospodarki cieplnej stanowi do dziś dnia bardzo istotne jej zadanie. Od 2004 roku do teraz spółdzielnia ociepiła wszystkie budynki w Książu Wlkp., w Kórniku i większość w Śremie. Te działania dają mieszkańcom realne korzyści – oszczędności w opłatach za dostarczone ciepło, ochronę budynków jak i podnoszą estetykę otoczenia. Wszystkie mieszkania, lokale użytkowe, a także inne pomieszczenia wyposażone są w elektroniczne podzielniki ciepła. Wszystkie węzły cieplne posiadają system sterowania pogodowego. Remontowane i budowane są także kolejne nowe parkingi i drogi osiedlowe. Tego typu inwestycje zostały zrealizowane w ostatnich latach m.in. na osiedlu przy ul. Poznańskiej, przy



Bloki przy ul. Zawadzkiego (obecnie Chłapowskiego), rok 1964, fot. W. Końpa

ul. Chłapowskiego 24, czy przy ul. Bora-Komorowskiego 6 w Śremie i będą nadal kontynuowane. Wychodząc naprzeciw potrzebom mieszkańców, którzy coraz częściej korzystają z roweru jako środka lokomocji w Śremie, spółdzielnia od kilku lat także na osiedlach przy wejściach do budynków tworzy miejsca postojowe na rowery. Na chwilę obecną jest już ich 235 szt. Całokształt działalności Spółdzielni Mieszkaniowej w Śremie w 2013 roku został dostrzeżony i doceniony na forum ogólnopolskim, spółdzielnia została laureatem plebiscytu Filar Spółdzielczości oraz rankingu Gazele Biznesu, najdynamiczniej rozwijających się małych i średnich firm organizowanego przez Puls Biznesu.

Spółdzielnia Mieszkaniowa w Śremie po latach przerwy w budowie budynków mieszkaniowych, podjęła niedawno ponownie działania w zakresie zaspakajania potrzeb mieszkaniowych. W 2016 roku uzyskała pozwolenie na budowę dwóch budynków wraz z podziemną halą garażową i komórkami lokatorskimi. Realizacja nowej inwestycji na Osiedlu Helenki musiała jednak zostać

przesunięta w czasie. Po wprowadzeniu zmian do projektu udało się wyłonić wykonawcę i w lutym 2020 roku spółdzielnia rozpoczęła budowę nowego budynku przy ul. Szymanowskiego 5 w Śremie z 55 lokalami mieszkalnymi, komórkami lokatorskimi i parkingami. Spółdzielnia pierwszeństwo do uzyskania prawa do lokalu w tej inwestycji przyznała rodzinom członków spółdzielni z najtrudniejszą aktualnie sytuacją mieszkaniową. Nowy budynek położony jest w urokliwej i spokojnej części miasta, kilka metrów od parku, przedszkola, szkoły, placu zabaw czy sklepów. Jest niewątpliwie ostatnim sukcesem Spółdzielni Mieszkaniowej w Śremie w budownictwie mieszkaniowym.

Spółdzielnia od ponad 50 lat prowadzi działalność społeczno-kulturalną, z czego jesteśmy dumni. Początki tej działalności sięgają roku 1969, kiedy to w pomieszczeniach piwnicznych budynku przy ul. Poznańskiej zaczął działać klub Piekiełko. Było to miejsce spotkań i wielu imprez dla mieszkańców. Obecnie działalność kulturalna to nie tylko szeroko rozumiana rozrywka, ale



Domy przy ul. ks. A.Rzadkiego (dawniej M. Buczka). Fot. Bartosz Barwiński

także daleko idąca pomoc w wychowaniu i edukacji dzieci, organizacji letnich i zimowych wakacji. Służy także aktywizacji seniorów czy działalności pomocowej i charytatywnej. Działalność społeczno-kulturalna spółdzielni realizowana jest głównie przez Klub Relax oraz świetlice. Działalność ta realizowana jest przy szerokiej współpracy z gminą, ze szkołami oraz wieloma organizacjami i stowarzyszeniami. W 2017 roku Spółdzielnia Mieszkaniowa w Śremie za całokształt działalności kulturalnej została nagrodzona „Złotym Laurem Spółdzielczości” – najważniejszym wyróżnieniem przyznawanym przez Krajową Radę Spółdzielczą. Spółdzielnia oferuje od wielu lat także szeroki system komunikacji z mieszkańcami. Od 1998 roku wydawany jest kwartalny „Informator Spółdzielni Mieszkaniowej w Śremie”, dostarczany mieszkańcom do domów. Poza tradycyjną formą biuletynu, informacje o działalności spółdzielni można uzyskać poprzez jej stronę internetową – www.smsrem.pl, fanpage na Facebooku oraz Elektroniczne Biuro Obsługi Klienta.

Spółdzielnia prowadzi od 30 lat również działalność telewizyjną – TV RELAX. Nadaje m.in. takie produkcje jak „Spółdzielnia od A do Z” czy „Wiadomości”, podając informacje z najważniejszych wydarzeń z regionu. Nadając program w cyfrowym sygnale, dociera swoim zasięgiem do widzów z całej Wielkopolski.

Rok 2016 był dla spółdzielczości w Polsce bardzo ważnym rokiem - rokiem jubileuszowym – 200 lat tradycji spółdzielczej w Polsce. Z tej okazji została wydana książka *Najstarsze Polskie Spółdzielnie wczoraj i dziś*. Spółdzielnia śremska, została w tym wydaniu książki wyróżniona i szeroko opisana. Dla Spółdzielni Mieszkaniowej w Śremie rok 2016 był związany także z jej jubileuszem, 65-lecia działalności. Podczas gali jubileuszowej, medalem wydanym przez Krajową Radę Spółdzielczą z okazji 200-lecia ruchu spółdzielczego na ziemiach polskich, uhonorowani zostali wieloletni szefowie spółdzielni, z okresu jej największego rozwoju: Heliodor Jankowski oraz Michał Ślenzak. Członkowie obecnego Zarządu spółdzielni: Marek Chmiel, Marek Mans-



Blok przy ul. Szymanowskiego 5. Fot. Bartosz Barwiński

feld i Karolina Posadzy podziękowali także podczas tej gali wszystkim pracownikom za całokształt wieloletniej pracy zawodowej na rzecz spółdzielni. W tym samym roku, na 10 gali rozdania wyróżnień Śremskich Żyraf, Burmistrz Śremu uhonorował także Spółdzielnię Mieszkaniową w Śremie statuetką żyrafy, doceniając jej wieloletnią działalność na rzecz mieszkańców Śremu.

Obecnie Spółdzielnia Mieszkaniowa w Śremie zarządza i administruje 5889 mieszkaniami o łącznej powierzchni ponad 303 tysiące metrów kwadratowych. Do tego dochodzi ponad 14 tysięcy metrów kwadratowych lokali użytkowych. W zasobach administrowanych przez spółdzielnię zamieszkuje około 12 884 osób.

Adam PODSIADŁY

Jak to w Śremie z żużlem było. Część 3

Zapiski historyczne

Czytelnicy, zainteresowani historią sportu żużlowego w naszym mieście, w poprzednich odcinkach dowiedzieli się o jego początkach i rywalizacji w zawodach ligowych na torze przy Nowej Strzelnicy. Kiedy ten obiekt przestał spełniać wymogi stawiane przez Polski Związek Motorowy, rozpoczęto budowę stadionu z nowym torem w Parku Miejskim.

Teren wokół stadionu otoczono drucianym płotem z dwoma wejściami. Przy nich przed zawodami czynne były kasy biletowe i można było nabyć program z listą startową i obsadą kolejnych

biegów. Za pawilonem muzycznym wydzielono miejsce na parking dla zmotoryzowanych kibiców. Sam tor miał 386 metrów długości, wiraże po ok. 12-15 metrów szerokości. Miejsca siedzące dla kibiców znajdowały się wzdłuż prostej przeciwległej do prostej startowej oraz od parku maszyn do linii startu. Dla bezpieczeństwa widzów na miejscach stojących (na prostej po starcie i pierwszym łuku) zamontowano w odległości ok. metra od bandy drewniane barierki. Miejsce startu i mety znajdowało się naprzeciwko muszli koncertowej, gdzie mieściło się biuro zawodów. Sta-

Tablica wyników na torze żużlowym w parku. Fot. z arch. Adama Podsiadłego





Afisz z arch. Adama Podsiadłego

dion podczas meczów był zradiofonizowany, a spikerkę prowadzili na zmianę: Stefan Urbaniak, Józef Podsiadły i Andrzej Wałdowski.

Park maszyn i brama wjazdowa na tor znajdowały się na końcu drugiego łuku. W parku maszyn nieodzownym miejscem była „górką zapychowa” dla motocykli. Z bramy parkingu w czasie przerw w biegach wyjeżdżał na tor traktor z szyną do równania toru, a w razie potrzeby z walcem i polewaczką. Za bandą na drugim wirażu wzniesiono wieżę z tablicą wyników.

Nowy obiekt sportowy na około dwa tysiące widzów był gotowy na początku 1956 r. i pierwszy punktowany mecz drugoligowy odbył się na nim 27 maja z drużyną AMK Katowice. Śremscy kibice z przykrością oglądali porażkę gospodarzy: 22-32.

Doceniając inicjatywę budowy nowego toru żużlowego Zarząd Główny Zrzeszenia Sportowego „Sparta” przyznał śremskiej sekcji żużlowej dotację 100 tys. złotych, którą przeznaczono na zakup pięciu motocykli FIS polskiej konstrukcji. Główny warsztat klubowego mechanika Aleksandra Zajączkowskiego z Leszna, cenionego fachowca od naprawy i serwisu maszyn żużlowych, z którym współpracował Hipolit Kaźmierczak, znajdował się w podwórzu kamienicy na dawnej ul. Walki Młodych, z wjazdem od ul. Rzecznej. Stąd zabierano motory na zawody wyjazdowe. Pamiętam spory moich rówieśników, kto będzie tym razem pchał FIS-y na dworzec kolejowy, co też kosztowało wiele wysiłku.

Kadra zawodników „Sparty” w rywalizacji o mistrzostwo II ligi żużlowej do czasu definitywnego wycofania drużyny z dalszych startów w 1963 r. składała się z miejscowych żużlowców oraz nabytków np. z Leszna, Poznania, Gostynia, Rawicza, Gniezna.

Korzystając z ustaleń redaktora Wiesława Dobruszka („Żużlowy leksykon ligowy” t. 1-4) i moich własnych dociekań, warto w tym miejscu przypomnieć listę nazwisk zawodników (z zastrzeżeniem, że prawdopodobnie nie jest ona pełna). I tak z plastronem „Sparty” na piersiach jeździli:

Bronisław Andrzejewski (jeden sezon, 1956), Andrzej Baszyński (po jednym sezonie, 1960 wycofał się ze startów w efekcie wypadku na torze i kontuzji), Andrzej Bartoszkiewicz (jeden sezon, 1963, był zawodnikiem „Unii” Leszno),

Jerzy Bartoszkiewicz (sześć sezonów 1956-1961), Andrzej Burzyński (jeden sezon, 1961), Janusz Cichoszewski (jeden sezon, 1963), Franciszek Cieślowski (jeden sezon, 1963), Konrad Czernik (jeden sezon, 1961), Sylwester Drzewiecki (jeden sezon, 1959), Zbigniew Flegel (cztery sezony, 1960-1963, jednocześnie startował w „Unii” Leszno, a potem do końca sportowej kariery w „Unii” Tarnów), Zenon Frąszczak (jeden sezon, 1962), Władysław Grabowski (jeden sezon, 1960), Sławomir Jankowiak (jeden sezon, 1960), Tadeusz Jurga (osiem sezonów, 1956-1963), Henryk Kaczmarek (osiem sezonów, 1956-1963), Hipolit Kaźmierczak (cztery sezony, 1956-1959), Zygmunt Maćkowiak (trzy sezony, 1961), Zenon Maćkowiak (jeden sezon, 1961), Jerzy Michalak (trzy sezony, 1961-1963), Edward Mielcarzewicz (cztery sezony, 1956, 1958, 1961-1962), Stanisław Mocek (jeden sezon, 1959), Kazimierz Olejnik (jeden sezon, 1962), Leon Szulc (dwa sezony, 1956-1957), Henryk Szyszka (dwa sezony, 1959-1960), Józef Urbaniak (jeden sezon, po wypadku i kontuzji w zawodach na własnym torze, wycofał się z wyścigów żużlowych), Jerzy Walewski (siedem sezonów, 1956-1963), Waław Wechman (sześć sezonów, 1958-1963), Tadeusz Wróbel (jeden sezon, 1958).

Dobre kontakty z KS „Unią” Leszno owocowały uczestnictwem śremskiej kadry żużlowej na obozach sportowych i wspólnych treningach. Leszczyńscy szkoleniowcy pomagali na treningach „Sparty”, jako że śremski klub nie zatrudniał na etacie trenera. Należy podkreślić, że zawodnicy uprawiali tę dyscyplinę na zasadach amatorstwa. Klub miał obowiązek zapewnić sprzęt, naprawy motocykli, wyposażenie osobiste żużlowców (np. skórzane kombinezony, buty, kaski itp.), zwracał koszty transportu na mecze wyjazdowe, diety. Bywało, że na podsumowanie sezonu zarząd klubu fundował pieniężne premie i nagrody rzeczowe.

Praca klubu opierała się na oddanych sportowi żużlowemu działaczach. W przygotowaniu zgodnie z regulaminem toru, sprawnym i bezpiecznym przeprowadzeniu zawodów uczestniczyło wielu ludzi. Do wcześniej wspomnianych działaczy dodać należy: Henryka Walewskiego i Alfreda Nowaka, którzy na zmianę pełnili funkcję kierownika zawodów lub kierownika startu, Feliksa



Żuźłowcy przed maszyną startową na torze w parku. Fot. z arch. Adama Podsiadłego

Talarczyka, kierownika parku maszyn i doktora Romana Surę-Surzyńskiego klubowego lekarza. W III i II lidze żuźlowej „Sparta” wystąpiła w 101 meczach. Odniosła 37 zwycięstw, 59 porażek, 4 pojedynki zakończyły się remisami. Najlepsze miejsce zaliczyła w sezonie 1959 r. – IV. Indywidualnie najwyżej zostali sklasyfikowani: Wacław Wechman 7 m., 2,29 pkt na bieg, 8 m. Zbigniew Flegel – 2,06 pkt. na bieg (1961 r.), Henryk Kaczmarek 11 m – 1,91 pkt na bieg (1960 r.), Wacław Wechman – 2,00 pkt. na bieg (1962), Jerzy Bartoszkiewicz – 1,99 pkt. na bieg (1962 r.).

Na śremskim stadionie w parku oglądano popisy jazdy na żuźlu czołowych w owych czasach polskich zawodników, w tym m.in. Mariana Spychały, Stanisława Rurarza, Zygmunta Pytki, Edmunda Migosia, Andrzeja Pogorzelskiego, Wiktora Waloszka, Włodzimierza Szwendrowskiego, Mariana Rose, Floriana Kapały, Joachima Maja, Stanisława Tkocza. Raz w turnieju towarzyskim wystąpili zawodnicy ze Związku Radzieckiego: Igor Plechanow i Oleg Kuźmin. Rekord frekwencji widzów na stadionie (ok.

2500) odnotowano na Wyścigach Żuźlowych o Puchar Miasta Śremu na 10-lecie klubu, które odbyły się 21 X 1956 r.

Klubowa i sportowa działalność „Sparty” zakończyła się w sezonie 1963 r. Na następny sezon śremska drużyna nie została już zgłoszona do rozgrywek II ligi. I tak Śrem po kilkunastu latach zniknął bezpowrotnie z żuźlowej mapy Polski.

W ostatniej, czwartej części przedstawię sylwetki żuźłowców śremskiej „Sparty”.

Leszek MAŃKOWSKI

Do Wilna przez Rygę

Z pamiętnika starego

Za młodu zaczytywałem się w Sienkiewiczowskiej Trylogii, w wyobraźni wędrowałem z jej bohaterami po rozległych terenach Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Marzyłem, by zobaczyć miejsca, w których toczy się akcja pierwszych rozdziałów *Potopu*; odwiedzić ojczyznę Mickiewicza, Słowackiego, Piłsudskiego, Miłosza; udać się do Teju, co „w Ostrej świeci Bramie”. Marzenia się spełniły, niestandardowo – przy okazji pobytu na Łotwie. W październiku 1992 roku wraz grupą uczniów Szkoły Podstawowej nr 2 gościliśmy w Dyneburgu (Daugavpils), zaproszeni przez społeczność tamtejszej Szkoły Polskiej. Będąc tam, wędrując po Łotwie (Aglona, Krasław, Ryga), należało korzystać z okazji i zorganizować wspólne z dziećmi z Daugavpils wyprawę na Litwę.

Magiczny dzień w Wilnie rozpoczynamy na Antokolu zwiedzeniem kościoła św. Piotra i Pawła. Barokową świątynię ufundował w XVII w. hetman wielki litewski Michał Kazimierz Pac. O szczególnym miejscu, jakie w historii sztuki polskiej zajmuje ten kościół decyduje niezwykle wystrój, wyjątkowej klasy sztukaterie. Podziwiamy wnętrza, które zdobią stiukowe rzeźby (jest ich ponad 2 tysiące) o biblijnej i historycznej tematyce oraz piękny kryształowy żyrandol w kształcie łodzi.

Pełni artystycznych wrażeń podążamy tam, gdzie ze szczytu wieży powiewa nad wileńskim Starym Miastem litewska flaga (wcześniej była sowiecka, jeszcze wcześniej – polska...). Baszta na Górze Giedymina (Zamkowej) to pozostałość zamku wzniesionego przez wielkiego księcia Witolda. W mieszczącym się tam muzeum oglądamy wystawę poświęconą bitwie pod Grunwaldem, eksponującą zasługi Witolda, pomijającą Jagiełłę... Ze wzgórza – spojrzenie m.in. na położoną nad Wilejką Górę Trzykrzyską. Na niej trzy

białe krzyże odbudowane w 1989 roku jako pomnik ofiar stalinizmu na Litwie.

Bazylikę archikatedralną św. Stanisława i św. Władysława, miejsce pochówku królów i królowych Polski, wielkich książąt i księżnych litewskich, można było zobaczyć niestety tylko z zewnątrz. Za to dłużej zatrzymujemy się w zażytkowych murach Uniwersytetu Wileńskiego, założonego przez króla Stefana Batorego. Piękny, stylowy, obszerny dziedziniec i krużganki. Wspaniały wystrój sal, a w nich upamiętnienia profesorów i słynnych absolwentów uczelni. Zapamiętuję szczególnie podpisy pod portretami: Adomas Mickevičius, Julijus Slovackis, Joachimas Lelewelis... A potem – Ostra Brama.

Wchodząc lekko pod górkę ulicą Ostrobramską widzę u jej końca bramę z kaplicą. Pierwsze wrażenie: niewielka, szczególnie w zestawieniu z sąsiadującym bazylikańskim kościołem św. Teresy. A wewnątrz: wzruszenie, mnóstwo skojarzeń... modlitwa. Pobyt przed obrazem nie może być długi, miejsca jest niewiele, trzeba ustąpić następnym. Ale – wystarczy, by nie zapomnieć (pisząc to, jeszcze jakieś mrowienie czuję...).

Idziemy w stronę cmentarza na Rossie, pieszo, ulicą Ostrobramską w dół. U podnóża Starej Rossy, dochodzimy do tego grobu – Matka i Serce Syna. Grób Marii z Billewiczów Piłsudskiej, miejsce pochówku urny z sercem Józefa Piłsudskiego. Stoimy chwilę w milczeniu, potem śpiewamy Pierwszą Brygadę. I znów, podobnie jak w ostrobramskiej kaplicy, ucisk w gardle... Wokół żołnierskie mogiły, kwatera na której spoczywają polscy oficerowie i ochotnicy polegli w latach 1919–1920 w walkach o Wilno, a także żołnierze Armii Krajowej polegli podczas operacji Ostra Brama w 1944 roku. Wchodzimy na dość strome wzgórze cmentarza. Niektóre stare nagrobki są



Kościół św. Piotra i Pawła w Wilnie. Fot. Leszek Mańkowski

poniszczone, inne poddane renowacji. Wiele znajomych, historycznych nazwisk. Na szczycie wzgórza kościół, a przed nim rzucający się w oczy odnowiony nagrobek z popiersiem Lelewela. Kończy się niezapomniane spotkanie z Wilnem. Niedaleko są Troki, więc tam jedziemy. Znad jeziora Galwe mamy widok niczym z bardzo kolorowej widokówki: nad wodami jeziora długi drewniany most prowadzi do położonego na wyspie średniowiecznego zamku. Zamek wydaje się wyjątkowo dobrze zachowany, okazuje się jednak, że to w znacznej mierze jest XX-wieczna rekonstrukcja obronnej budowli wzniesionej jeszcze przez księcia Witolda i jego ojca Kiejstuta. Jest co oglądać, bez wątpienia to atrakcja turystyczna. Przed odjazdem mamy jeszcze postój w dzielnicy karańskiej, z niezwykle architekturą domów mieszkalnych. W centrum widoczny jest dom modlitwy, czyli kienesy karański. W Trokach bowiem mieszkają potomkowie Karaimów, sprowadzonych w średniowieczu z Krymu.

Dzień się kończy. Wracamy do domu, znaczy: do Dyneburga. Głowa pełna wrażeń.

Drugi wypad na zachód (tak!) skierowaliśmy w stronę Żmudzi. Po przedostaniu się przez graniczny kordon (tak, istniały wtedy granice, z kontrolami i celnikami) mieliśmy popas w Rakiszkach. Miasto było kiedyś własnością magnackiego rodu Tyzenhauzów, którzy wybudowali tu sobie pałac i ufundowali neogotycki kościół św. Mateusza – i ten zwiedziliśmy. Jedziemy w kierunku miasta Szawle, widzę drogowszak na północ: Birżai. Tak, to są Birże; skojarzenia: Potop, Kiejdany, Radziwiłłowie, Lauda. Do Kiejdan – to z pewnością szosą na południe, to właśnie tą drogą Roch Kowalski wioził pana Zagłobę i jego towarzyszy, współwięźniów, z Kiejdan do Birż. To gdzieś tam, w drodze pan Roch się nawrócił i odstąpił zdrajcy Radziwiłła, po tym jak „misternie wykalkulował, że wuj – to wuj”. Tu gdzieś blisko mieszkała w zaściankach laudańska szlachta; w Pacunelach pan Michał Wołodyjowski dochodził do zdrowia pod opieką nadobnych panien,



Góra Krzyży. Fot. Leszek Mańkowski

a w Wołmontowiczach żyli ponurzy Butrymowie. Blisko są pewnie Wodokty i Mitruny Oleńki Billewiczówny oraz zapisany Andrzejowi Kmicicowi Lubicz; niedaleko muszą być Upita, Poniewież, Rosienie... Rozpaczam podróż śladami Sienkiewiczowskich bohaterów.

Dojeżdżamy do Szawli. Miejsce zapisane w naszej historii XVIII i XIX wieku. To właśnie tu rozpoczęły się działania insurekcji kościuszkowskiej na ziemiach Rzeczypospolitej. W powstaniu listopadowym zaś pod Szawłami rozegrała się bitwa, w której pod dowództwem gen. Dezyderygo Chłapowskiego walczyła też Emilia Plater.

Kilkanaście kilometrów od Szawli znajduje się Góra Krzyży. W tym miejscu w 1430 roku stanęła kapliczka upamiętniająca przyjęcie przez Żmudzinów chrztu; górował nad nią wielki krzyż. Gdy upadło powstanie listopadowe ludzie zaczęli masowo przynosić tam kolejne krzyże. Odtąd przybywa ich stale. Są różne: od kilkumetrowych

aż po najmniejsze, różańcowe. Małe są podwieszane na już stojących. Przynoszone są w różnych intencjach, jako symbole wiary, jako dziękczynne wota... Władza sowiecka próbowała zmusić do zaprzestania pielgrzymowania. Próbowano zlikwidować to miejsce; zniszczono kilka tysięcy krzyży i kaplicę. Planowano nawet zalać cały teren wokół wzniesienia. Jednak wciąż stawiano krzyże. Obecnie ich liczba jest szacowana na ok. 200 tysięcy.

Stoimy na Górze Krzyży. W każdą stronę widok na puste pola. Słychać szczególnie szum, odgłos poruszanych przez wiatr małych krzyżyków pozawieszanych gęsto na stojących krzyżach. Niezwykłe miejsce, niesamowita sceneria. Zaduma... Wracamy na wschód, przez Laudę. Litewską przygodę kończymy pobylem w Poniewieżu. A po kilku dniach znowu przejazd przez Litwę, tranzytem, na ojczyzny łono.

Michał LORENC

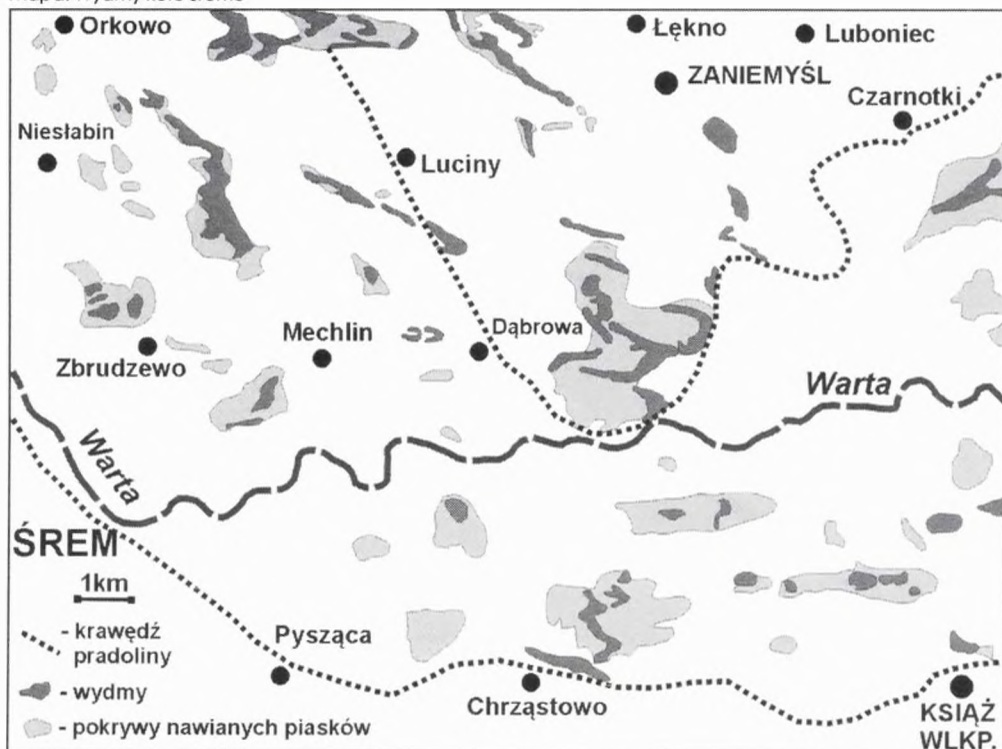
Wydmy – pamiątka okresu polodowcowego

Na tropach lodowca... Część 12

Głównym bohaterem artykułów tego cyklu jest, jak pamiętamy, lądolód skandynawski. Powstał on około 25 000 lat temu w północnej Skandynawii w rezultacie postępującego ochłodzenia klimatu. W kolejnych tysiącletniach zwiększał swój zasięg i grubość, docierając na ziemię śremską. Nastąpiło to nieco ponad 20 000 lat temu. Nieco później, około 20 000 lat temu, lądolód dopłynął w okolice Dolska, zatem kilkanaście kilometrów na południe od Śremu, uzyskując w ten sposób

swój maksymalny zasięg. Ziemia śremska była w tym czasie przykryta warstwą lodu o grubości 300-600 metrów. Przyjmując średnią wartość rzędu 450 metrów, możemy sobie wyobrazić okolice Śremu pod warstwą lodu o grubości 4-5 boisk piłkarskich ustawionych w pionie, jedno, na drugim. Pomimo to, już około 19 500 lat temu, tym razem w wyniku postępującego ocieplenia klimatu, lądolód wytapiał się i ustępował z ziemi śremskiej.

Mapa. Wydmy koło Śremu

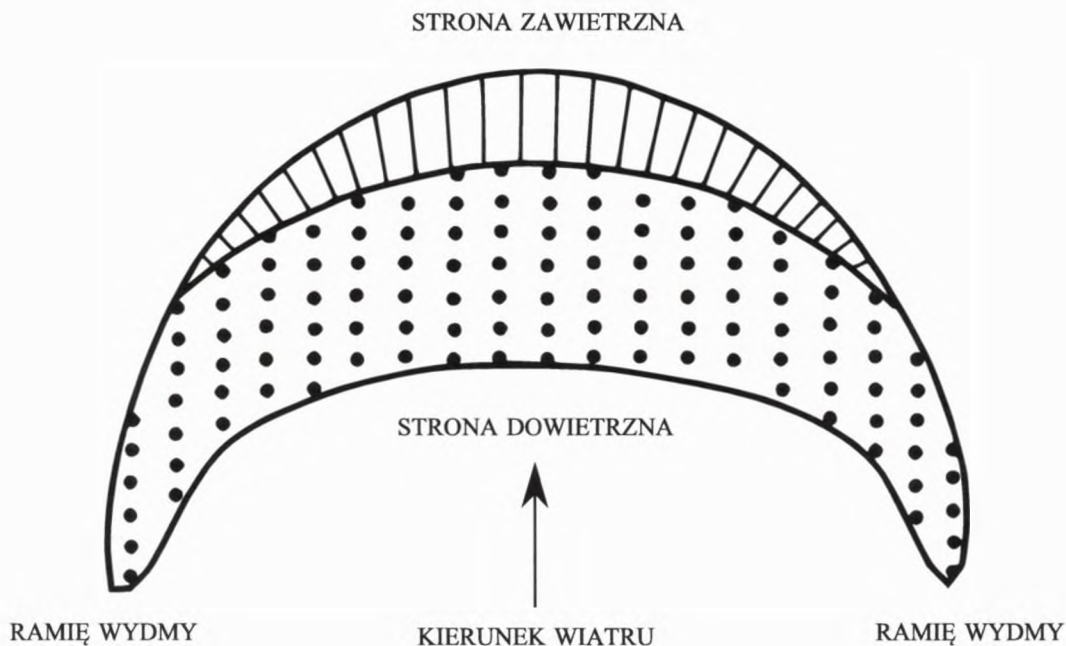


W dotychczasowych artykułach tego cyklu zapoznaliśmy się z formami rzeźby terenu, jakie na ziemi śremskiej utworzył i pozostawił po sobie lądolód. Jest to zatem rzeźba polodowcowa. Czytaliśmy również o innych tropach pozostawionych przez lądolód, jak głazy polodowcowe, o gospodarczym wykorzystaniu polodowcowej spuścizny, a także wpływie, jaki na powstanie i historię Śremu wywarła polodowcowa rzeźba terenu. W tym i w kolejnych artykułach tego cyklu zainteresujemy się formami terenu, które nie są bezpośrednim dziełem lądolodu, ale powstały dzięki jego obecności i zazwyczaj krótko po jego zaniku. Zainteresujemy się również zjawiskami przyrodniczymi wpływającymi na powstanie tych form terenu. W tym artykule zwróćmy uwagę na wydmy.

Wydmy kojarzą się nam zwykle z wybrzeżem morskim lub z piaszczystymi pustyniami, na których osiągają one największe rozmiary. Znacznie rzadziej mówiąc o wydmach myślimy o ich śródlądowych przykładach z obszaru Polski, a tym bardziej ziemi śremskiej. Czas zatem na spotkanie z wydrami okolic Śremu.

Zanikający lądolód skandynawski około 14 000 lat temu opuścił obszar dzisiejszej Polski. Dalszy jego zanik postępował na obszarze, który obecnie zajmuje Bałtyk, a powstanie tego morza jest rezultatem tego procesu. Ostatecznie lądolód zanikł tam, gdzie powstał, czyli na północy Skandynawii, około 9000 lat temu. Około 14 000 lat temu, zatem w okresie, w którym lądolód opuszczał obszar Polski, rozpoczął się bardzo interesujący przedział czasu zwany późnym glaciałem. Trwał on około 4500 lat. W tym okresie miały miejsce krótkie, ale wyraźne zmiany warunków klimatycznych. Ochłodzenia przeplatały się z ociepleniami klimatu. Te zmiany uruchomiły procesy przyrodnicze odpowiedzialne za rozwój wydym i innych form rzeźby terenu, a także pierwszych gleb (patrz tabela obok).

W okresach cieplejszych, choć i tak znacznie chłodniejszych od współczesnych warunków klimatycznych, rozwijała się roślinność, miejscami nawet leśna. W rezultacie powstawały pierwsze gleby. Natomiast w okresach chłodnych, gdy klimat stawał się subarktyczny, zanikała lub znacznie ubożała pokrywa roślinna, odsłaniając olbrzymie ilości pokrywającego te-



Okres	Klimat	Lata	Procesy
Holocen	Ocieplenie		Glebotwórcze
PÓŹNY GLACJAL	<i>Ochłodzenie</i>	10 000	<i>Wydmotwórcze</i>
	Ocieplenie	11 000	Glebotwórcze
	<i>Ochłodzenie</i>	11 800	<i>Wydmotwórcze</i>
	Ocieplenie	12 000	Glebotwórcze
	<i>Ochłodzenie</i>	13 000	<i>Wydmotwórcze</i>
	Ustąpienie lądolodu z obszaru Polski	14 000	Brak danych o wydmach

ren piasku. Był to piasek pozostawiony przez wytapiający się lądolód, a bliżej, przez wypływające z niego wody roztopowe. Jak już wiemy, lądolód transportował ogromne ilości okruchów skalnych różnej wielkości, od niewidocznych gołym okiem, małych ziaren iłu po potężne głazy narzutowe. W tym ziarna piasku. Wypływające z topniejącego lądolodu wody niosły z sobą ten materiał skalny, ostatecznie jednak deponując go i tworząc rozległe piaszczyste pokrywy. Są one znakomicie rozwinięte w pradolinach, w których ilość oraz czas spływu wody były większe, niż poza pradolinami („GŚ” 9-10/2019). Również duże rynnny polodowcowe, zatem drogi spływu rzek podlodowcowych („GŚ” 7-8/2019), jak i doliny rzeczne, pokryte były naniesionymi przez wodę piaskami. Poza pradolinami i dolinami rzeczными rozległe piaszczyste powierzchnie tworzyły sandry („GŚ” 1-2/2021). Zanik roślinności w okresach chłodnych późnego glacialu i w rezultacie odsłonięcie tych piasków, a zarazem wzrost siły wiatru, przyniósł rozwiewanie przez wiatr tychże piasków. To przykład zjawisk eolicznych, czyli inicjowanych przez wiatr. Piaski transportowane i deponowane przez wiatr to zatem piaski eoliczne. Wiatr porywając ziarna piasku transportował je, by w końcu je gdzieś zdeponować. Cięższe ziarna poruszały się skokami – unoszone na nieznaczne wysokości po chwili opadały. To tzw. saltacja. Jeszcze cięższe ziarna piasku, których wiatr nie poderwał, były przez wiatr wleczone po powierzchni terenu, nie odrywając się od niej. Przemieszczany przez wiatr piasek ostatecznie ulegał depozycji, a gro-

madząc się tworzył wzniesienia o charakterystycznych kształtach i budowie, czyli wydmy. Tak samo, jak się to obecnie odbywa na piaszczystych pustyniach lub wybrzeżach morskich. Śródlądowe wydmy w późnym glacialu powstawały głównie tam, gdzie piasku na powierzchni terenu było najwięcej, zatem głównie w pradolinach i w ich otoczeniu oraz w dużych dolinach rzecznych. Miejsca te stanowiły bowiem niemal niewyczerpane źródło piasku.

Kształt wydmy nie jest przypadkowy i zależy od szeregu czynników, jak kierunek i siła wiatru, obecność lub brak roślinności, wilgotność podłoża. Na ziemi śremskiej w późnym glacialu zazwyczaj powstawały wydmy paraboliczne lub podłużne wały wydymowe. Wydmy paraboliczne posiadają kształt łuku o ramionach skierowanych pod wiatr (rysunek). Początkiem powstania takiej wydmy było gromadzenie się niesionego przez wiatr piasku przy jakiejś przeszkodzie terenowej. Mogły ją stanowić kępy roślinności, głazy, pagórki. Końce ramion wydmy były więc „zakotwiczone” w takich obiektach, rozwijając się zgodnie z dominującym kierunkiem wiatru. W wyniku postępującego gromadzenia piasku dochodziło do połączenia ramion tworzącej się wydmy i powstania jej zasadniczej części, czyli łuku wydmy. Tutaj też, na stronie dowietrznej wydmy, nieustabilizowany piasek był ciągle przemieszczany przez wiatr, a osiągnąwszy szczyt wydmy osuwał się w dół po jej zawietrznej stronie. Z tego powodu stok dowietrzny wydmy parabolicznej jest łagodniej nachylony niż zawietrzny, a wydma się przemieszcza. Oczywiście zgodnie z dominującym kierunkiem wiatru. Wędrówka wydmy zazwyczaj odbywa się z prędkością kilku, kilkunastu metrów na rok, ale może osiągać wartości rzędu 150-200 metrów rocznie.

Tego typu wydmy znajdziemy na obszarze pradoliny w okolicy Śremu (mapa). Wydmy paraboliczne pomiędzy Zbrudzewem a Czmoniem osiągają wysokość do 15 metrów. To wysokość czteropiętrowego bloku mieszkalnego. Jeszcze wyższe wydmy znajdują się na południe od Zaniemyśla i osiągają wysokość 26 metrów (106 m n.p.m.). Wydma widoczna na zdjęciu znajduje się koło Zbrudzewa. Wznosi się 6-7 metrów ponad swoje otoczenie. Roztacza się z niej szeroka panorama w kierunku Śremu. Jej obecność zdradza widoczna polna droga, podcinająca strome,

piaszczyste stoki wydmy (fotografia). Ramiona wydym parabolicznych na ziemi śremskiej osiągały długość ponad 500 metrów, choć zazwyczaj są znacznie krótsze. Zdarza się, że poszczególne wydmy łączą się, tworząc bardziej złożone i większe formy. Poza wydmami parabolicznymi obecne są również podłużne wały wydmore, ciągnące się zasadniczo z zachodu na wschód, zatem zgodnie z kierunkiem dominujących wiatrów transportujących piasek. Wały wydmore osiągały długość ponad 2 kilometrów, choć zazwyczaj są znacznie krótsze. Osiągają wysokość rzędu 5–6 metrów. Sporadycznie znajdziemy je również poza pradoliną, np. pomiędzy Nochowem a Błociszewem.

Tam, gdzie wiatr nie utworzył typowych wydym powstały pokrywy nawianych piasków zwane też równinami piasków przewianych. Są to formy słabo widoczne w rzeźbie terenu, ale obecność nawianego piasku jest w podłożu czytelna. Jego grubość sięga nawet 2 metrów. Takie piaszczyste powierzchnie znajdziemy zazwyczaj w otoczeniu wydym i to na nich często powstały wydmy (mapa).

Zatem, podobnie jak wydmy, obecne są głównie w pradolinie, sporadycznie poza nią, np. w otoczeniu wspomnianych wydym koło Nochowa.

Obecnie wydmy są zazwyczaj porośnięte przez lasy, najczęściej bory sosnowe, które potrafią się zadowolić ubogim, piaszczystym podłożem (fotografia). Maskują one obecność wydym, ale jednocześnie stabilizują piasek, który tworzy wydmy. Brak pokrywy roślinnej na wydmach doprowadziłby, podobnie jak w późnym glacie, do wywiewania piasków wydmorewych, a w rezultacie uruchomienia wydym, czyli przemieszania się istniejących i powstawania nowych wydym. Jeszcze na początku XIX wieku transportowany przez wiatr piasek Pustyni Błędowskiej zasypywał przedmieścia Olkusza. Z tego powodu Pustynię Błędowską, podobnie jak wiele innych obszarów wydmorewych, celowo zalesiono, aby wydmy ustabilizować.

Warto dodać, że jedna z największych i najlepiej zbadanych wydym w okolicy Śremu znajduje się w Żabinku koło Mosiny. Długość tej parabolicznej wydmy sięga 3 km. Znajduje się w niej duże

Jedna z wydym koło Zbrudzewa





Nawiane piaski w podłożu boru sosnowego

wyrobisko piasku. Droga, którą wjeżdżamy do Żabinka od strony Śremu, rozcina tą wydmy w poprzek. Jej strome, piaszczyste stoki są widoczne po obu stronach drogi. Poza tym, jedno z najlepiej wykształconych i najbardziej rozległych w Europie obszarów wydmowych z późnego glacjału znajdują się właśnie w Polsce. Ich przykładem jest obszar Puszczy Noteckiej, Kampinoskiej lub Bydgoskiej. Obecność rozległych lasów, szczególnie borów sosnowych, na obszarach wydmowych, jak już wiemy, nie jest przypadkowa.

O występowaniu wydm, a przynajmniej rozległych piaszczystych powierzchni na ziemi śremskiej, wiedzą często grzybiarze. Grzybobrania w lasach na obszarze pradoliny oznaczają bowiem często wędrowkę po borach sosnowych, porastających nawiane przez wiatr piaski. Mówiąc zatem o wydmach, kierujmy nasze myśli nie tylko na piaszczyste pustynie, na morskie wybrzeża, ale także na ziemię śremską, jakże urozmaiconą pod względem przyrodniczym.

W kolejnym artykule tego cyklu przyjrzymy się ewolucji rzeki Warty, królowej rzek Wielkopolski, z którą nierozzerwalnie związana jest historia Śremu („GŚ” 5–6/2021). Zainteresujemy się powstaniem nadwarciańskich starorzeczy, jakże licznych również na ziemi śremskiej. Obecna postać Warty, podobnie jak wygląd jej doliny, wraz z upływem czasu podlegały dużym zmianom i zdecydowanie różną się od swej formy początkowej.

ZDJĘCIA I RYSUNKI
MICHAŁ LORENC

Olga KACZMAREK

Moja mała Ojczyzna

Moją tytułową Ojczyzną jest GRODZEWO, niewielka wieś położona w powiecie śremskim, w gminie Śrem, licząca ok. 100 mieszkańców. Od ostatnich paru lat jest to mój dom, moje miejsce, w którym bez pamięci się zakochałam. Przywędrowałam tu wraz z rodziną z pobliskiego miasta Śrem, gdzie wcześniej mieszkałam na typowym osiedlu, w jednym z szarych bloków, usytuowanych przy ruchliwej ulicy. Początkowo trudno było mi odnaleźć się w nowym miejscu. Najgorsza wydawała się cisza, która obecnie jest jednym z największych walorów. Sama wieś jest bardzo urokliwa, mogę nawet stwierdzić, że w pewnym stopniu żyje w swoim własnym tempie. Otoczona jest ona borami, przez co już nieraz zdarzyło mi się powiedzieć „dzień dobry” do sarenki czy lisa. Na pobliskich polach zauważyć można majestatycznie spacerujące żurawie. Wielokrotnie leśne zwierzęta odwiedzały nasze podwórko.

Pomimo tego, że miejscowość nie obfituje w atrakcje rekreacyjne, to posiada bardzo ciekawą historię. Wieś zamieszkiwana jest w większości od pokoleń przez te same rodziny, dlatego też wielu mieszkańców perfekcyjnie potrafi wymienić nazwiska i miejsce zamieszkania pozostałych, a często również ich profesje. Jedną z takich osób jest moja prababcia Terenia, która w tym roku skończyła 98 lat i mieszka po sąsiedzku. Ta wspaniała kobieta ze specyficznym charakterem, zawsze mówi to, co myśli, martwi się o innych oraz dzieli się rzeczami, które posiada. Nigdy nie słyszałam, żeby odmówiła komuś pomocy. Grodzewo od urodzenia było jej domem. Wychowała się tu, założyła rodzinę i nigdy nie chciała stąd wyjechać.

Kiedy do niej przychodzę, to z chęcią opowiada mi o wiosce, jej młodości oraz o czasach II wojny światowej. Siedzę wtedy wsłuchana w jej opo-

wieści i chłonę każde słowo. Historie bywają wesołe, zaskakujące, ale również smutne i wzruszające. Prababcia Terenia doskonale pamięta wszystkie zdarzenia, które tu zachodziły podczas wojny. Kiedy wybuchła, była mniej więcej w moim wieku. Z nazwiska potrafi wymienić Polaków oraz Niemców, którzy wcześniej tu mieszkali, a których później wysiedlono oraz wie, kto przejął ich gospodarstwo. Życie kręciło się tutaj głównie wokół pracy i rodziny. Jednocześnie każdy starał się pomóc innym w miarę swoich możliwości. Babcia służyła w niemieckiej rodzinie. Do jej obowiązków należało gotowanie, sprzątanie i pomoc w gospodarstwie. Syn Niemki, u której pracowała, służył w armii niemieckiej. Pewnego razu, gdy przyjechał na urlop do domu, ktoś ukradł jego buty od munduru. Wznowano Gestapo, przesłuchiowano każdego, kto pracował dla właścicielki domu. Ponieważ babcia miała wtedy swój dyżur w kuchni, była praktycznie obok pokoju przesłuchań. W pewnym momencie wyprowadzono z niego młodego parobka, który został dotkliwie pobity. Nakazano, aby babcia pilnowała domniemanego „złodziejaska”. Chłopak poprosił o papierosa, żeby lekko ulżyło mu to w bólu. Jednak wykorzystując dobrą wolę babci i chwilę jej nieuwagi, uciekł przez okno. Na całe szczęście za babcią wstawiła się jej gospodyni, która ochroniła ją przed brutalnymi oficerami.

Inna historia dotyczy brata prababci. Podczas ucieczki Niemców pakowano na wozy wszystko, co się dało i mieściło. Niestety zabierano też ze sobą parobków, a on był jednym z nich. Szczęśliwie udało mu się uciec po drodze i ukryć w pobliskich lasach. Dożył sędziwego wieku u boku swej żony i dzieci.



To właśnie z opowiadań seniorki naszego rodu mogłam się dowiedzieć, jak wyglądały realia wojennego życia, jakie uczucia towarzyszyły ludziom podczas tych traumatycznych wydarzeń. W szkole zawsze uczyliśmy się o działaniach wojennych w większych miastach, np. o bombardowaniu Warszawy, o ostrzale artyleryjskim Bytomia, jednak nigdy nie mówiono nam o tym, co przeżywali ludzie na wsiach, w małych miejscowościach. Tego nie ma w podręcznikach historii, nie znajdziemy tam odczuć, strachu, czy

przygnębienia pięcioletnią wojną zwykłych, prostych ludzi. Na szczęście żyją jeszcze blisko nas świadkowie dawnych wydarzeń i w pełni władz umysłowych, świadomie zdają relację z tamtego ciężkiego okresu. Cieszę się, że ogromny багаż wiedzy przekazuje właśnie mnie prababcia Terezia. Zrobię wszystko, aby to, do czego doprowadzili Niemcy podczas II wojny światowej nigdy się nie powtórzyło. Ku przestrodze opowiadać będę wszystkim historie prababci, może nawet kiedyś je spiszę...

Moja miejscowość, oprócz interesujących mieszkańców i ich opowieści, posiada jeszcze wiele innych ciekawostek. Jedną z nich jest zabytkowy cmentarz ewangelicki z pierwszej połowy XIX wieku. Położony jest w lesie wśród drzew. Przechylone, zniszczone upływem lat płyty nagrobkowe pokryte są w większości mchem, ale można z nich jeszcze odczytać nazwiska i daty. Najstarszy nagrobek pochodzi z 1809 roku i należy do Ernsta Jaensch. Ostatniego pochówku na tym cmentarzu dokonano w czerwcu 1953 roku, bez udziału księdza. To mieszkańcy z szacunkiem pochowali swoją sąsiadkę Niemkę, która jako jedyna została we wsi po tym, jak reszta jej rodaków uciekła do Niemiec ze względu na przegraną wojnę.

Na uwagę zasługuje również fakt, że w Grodzewie obok domów mieszkalnych znajduje się budynek szkolny z początku XX wieku, który służy aktualnie jako baza wypoczynkowa Hufca ZHP w Śremie.

Należy wspomnieć także o malowniczo położonym tuż nad Wartą Białym Gościńcu – Starej Tawernie. W tym miejscu znajdowała się niegdyś karczma oraz przeprawa promowa. Niestety dzisiaj zobaczyć możemy tam jedynie ruiny, ale nadal to miejsce przyciąga ludzi, którzy pragną wypocząć na łonie natury.

Warto też napomknąć o niezwykłym artyście – Jerzym Jurdzie, który przez pewien okres swojego życia pomieszkował w Grodzewie, w starej zabytkowej chacie. Był malarzem i posiadał swój własny styl, stworzony z technik mieszanych. Zaczynał od realistycznych obrazów, przedstawiających naturę, jednak po pewnym czasie zostały one wyparte przez abstrakcyjne dzieła, malowane za pomocą techniki olejnej, w dość ciemnej kolorystyce. Z biegiem czasu całkowicie już odszedł od jakichkolwiek wcześniej znanych stylów. Stworzył niepowtarzalne dzieła wysoko cenione przez niejednego konesera sztuki. Jego obrazy posiadały specyficzną, chropowatą powierzchnię, którą zawdzięczały specjalnemu przygotowaniu. Przedmioty oraz ludzie ukazani na malowidłach przedstawiani byli w dość prosty, a zarazem fascynujący sposób. Większość obrazów pokrywały figury geometryczne lub malutkie piktogramy. Pokazywały one życie artysty oraz czas, który jest naszą nieodłączną i zawsze pracującą częścią.

Jerzy Jurga był także znany ze swojej drugiej pasji, jaką była konstrukcja kusz. Zainteresował się tym zupełnie przypadkiem podczas zawodów łuczniczych.

Jego dzieła zostały wystawiane wielokrotnie w muzeach czy galeriach w całej Polsce, a nawet za granicą, między innymi w Chicago. Fascynujące jest to, że ten niezwykły artysta, który zmarł w 2009 roku, tworzył w mojej małej, pięknej miejscowości, a inspirację czerpał z natury, którą ja jestem otoczona.

Moja mała Ojczyzna może wydawać się komuś nudna, zwyczajna oraz niewiele różniąca się od innych. Na pewno wiele jest w Polsce wiosek, w których żyją jeszcze świadkowie II wojny światowej, wiele jest miejsc, gdzie znajdują się stare domy, cmentarze, gdzie mieszkali sławni artyści. Zdaję sobie z tego sprawę, że nie jestem jedyną, która przedstawia takie informacje i ciekawostki, jednak jednocześnie jestem świadoma faktu, że słowa nie mogą w pełni oddać uczuć, przeżyć czy widoków. Nie mieszkam w Grodzewie od urodzenia, jednakże czuję, że to miejsce jest moim prawdziwym domem i już dawno powinienam była się tu znaleźć. Pamiętam mój przyjazd tutaj ze Śremu, z blokowiska. Głowę miałam pełną wątpliwości, czy się zaaklimatyzuję, czy sobie poradzę w nowym otoczeniu. To nie była dla mnie łatwa zmiana. Aktualnie wszystko się wyciszyło, mam wrażenie jakbym była tu od zawsze, jakbym od urodzenia znała tu każdego i należała do tutejszej społeczności. Mogę swobodnie w związku z tym to miejsce nazwać domem, moim małym rajem, a przede wszystkim moją Ojczyzną, którą tak bardzo kocham.

Olga Kaczmarek – uczennica humanistycznej 2 klasy Liceum Ogólnokształcącego im. Gen. Józefa Wybickiego w Śremie. Absolwentka Szkoły Podstawowej nr 6 w Śremie. Brała udział w wielu konkursach, ale w konkursie literackim spróbowała swoich sił dopiero w liceum. Uwielbia czytać książki, szczególnie kryminały. W wolnych chwilach haftuje, robi na drutach, słucha przy tym rocka, ale również nie stroni od muzyki klasycznej. Dziewczyna twórcza, ciekawa świata, pełna wrażliwości i ciepła wewnętrznego. Tekst został nagrodzony przez organizatora w Wojewódzkim Konkursie Literackim oraz otrzymał wyróżnienie przyznane przez Wydawnictwo Miejskie Posenania i Poznańskie Archiwum Historii Mówionej.

Leszek MAŃKOWSKI

Reasumpcja

Jestem, więc pytam

Permanentnie poszerzają katalog pt. „Sąd sądem, a sprawiedliwość musi być po naszej stronie”. Babcia Pawlakowa wiecznie żywa. Do słów zakłamywanych dołączyli reasumpcję.

Zainteresowało mnie to słowo, sięgnąłem do słowników. Jest tam reasumpcja również w znaczeniu bardziej przyjaznym, nie wymagającym unieważniania niczego – „ponowne rozpatrzenie lub ponowna ocena czegoś”, także „wyciągnięcie nowych wniosków”.

Taką reasumpcję zrobiłem.

Oswajamy się? Przyzwyczajamy się do kłamstw, obelg, chamskich gestów, poniżania ludzkiej godności? A może – dla „świętego spokoju” – próbujemy jakoś to zracjonalizować, mówimy, że to marginalne, niegroźne, jakoś to się uładzi? „Tumiwisizm”. O kim mowa? Czyż to nie my? My, którzy w politykę się nie wdajemy. My, którzy bezrefleksyjnie bierzemy rozdawane. My, którzy sami „ciągniemy za sukno”. My, których cieszą okruchy z pańskiego stołu. My, którzy ksiąg nie wertujemy. My, którzy prawo mamy za nic. My, którzy nie patrzymy poza czubek własnego nosa. My, którzy...

„Przeto nigdy nie pytaj, komu bije dzwon: bije on tobie”¹.

Słowo ma moc, stało się narzędziem walki. Inżynieria językowa dokonuje operacji: Nadaje się odmienny sens lub kontekst starym wyrażeniom, aby teraz z czymś innym się kojarzyły. Tworzy się nowe słowa, ich rozumienie ma być zmienne, niedookreślone, rozmyte. Rozwija się nowomowa, której nadrzędnym celem wg Orwella jest zawężenie zakresu myślenia. Nowomowa nie jest nowością. Prawda zmiksowana z fałszem, przemilczaniem niewygodnych faktów przekazywana jest językiem nowomowy.

Wciągają w swoją wojenkę, manipulują. Widzą, że to działa. Wygodnie nam, mówimy bowiem, że są twórcami podziałów, nieufności, wrogości i nienawiści. Tylko oni ponoszą winę? Czy krzyczeliby, gdyby zamiast poklasku odpowiedziało im milczenie?

Politycy... Naprawdę tak myślą, czy odpowiadają na zapotrzebowanie; mówią to, co zwolennicy (elektorat, suweren) chcą usłyszeć?

Przydają nam się do rozładowania frustracji, do usprawiedliwienia – naszych porażek, bierności, nieodpowiedzialności. Pomagają, wskazują wroga i – tak, jak my – nie zastanawiają się nad konsekwencjami słów, które przeradzają się w czyny. Dlaczego tak jest?

Chcemy być wolni i żyć bezpiecznie. Da się to pogodzić? Wolność to prawo dokonywania wyborów (nie zawsze trafnych), to możliwość dokonywania zmian (bez gwarancji powodzenia), to odpowiedzialność za podejmowane decyzje... Więc może bezpieczniej, jeśli ktoś nam powie, da gotową receptę, zdecyduje, zwolni nas z trudu samodzielnego myślenia.

Oni mają nas urządzić, myśleć w naszym imieniu, powiedzieć nam z czego mamy być zadowoleni. A przede wszystkim – dawać wszystko, co nam się słusznie należy. Chleb i igrzyska! No i nie pozbawiać nas tej wolności, tej „od”: uczestniczenia w wyborach, zajmowania się jakimiś tam imponderabiliami, odpowiedzialności za swoje życie. Czy ktoś nieufny, uciekający przed odpowiedzialnością zechce przyjąć i dźwignąć ten – jak mówi Tischner – „nieszczęśny dar wolności”?

Może zdarzyć się jak napisał Dostojewski: „skończy się to tym, że przyniosą nam swoją wolność i składając ją u naszych nóg powiedzą: «Lepiej już zróbcie z nas niewolników, ale nas nakarmcie»”². Warto pomyśleć?

Historia zna przypadki rezygnacji społeczeństw z wolności i oddania jej (demokratycznie!) dyktatorom, przekazania im odpowiedzialności za siebie i państwo w zamian za obietnice zapewnienia dobrobytu i poczucia dumy; nawet jeśli ceną „bezpieczeństwa” jest cenzura, inwigilacja i zakaz samodzielnego myślenia...

Były zawsze i są nadal państwa autokratyczne, ustroje totalitarne, reżimy różnej maści. Są przywódcy rządzący autorytarnie, niektórzy chowają prawdziwą naturę rządów pod przykrywką swojskie pojmowanej demokracji. Różne czasy, różne kraje, mechanizmy podobne.

Jasne, żaden przywódca (nawet dobro dający) nie jest uwielbiany przez wszystkich. To sprawia, że swoją pozycję może utracić. Wiedząc o tym, wybiera: albo – racjonalnie kalkulując, realizuje swoją długofalową wizję, nie oczekuje doraźnych efektów w postaci poklasku tłumu; albo – dzierżąc władzę dla niej samej, myśli „po mnie

choćby potop” i tak manewruje, żeby lud zadowalać i władzy raz zdobytej nie oddać.

A dla ludu? Podtrzymywanie wiary w moc przywódcy. Dawanie: jeśli nie zawsze „chleba”, to obowiązkowo – „igrzysk”. I – wzmacnianie poczucia dumy narodowej. Poza tym, oznajmianie, że jeśli jeszcze nie spełniłyśmy marzeń – to kroczymy w słusznym kierunku, zwycięstwo coraz bliżej.

Na naszym panteonie niepodległości nie umieszcza się Norwida. Nie krzepił serca, starał się budzić rozum. Po klęsce powstania pisał: „Polacy rachują raczej na (jak mówią) poświęcenie krwi pokoleń co piętnaście lat – na periodyczną rzeź niewiniątek, aż Bóg z obłoków wyjrzy. [...] dlaczego nic logicznego nie ma i być nie może? Dlatego, że na całym globie nigdzie Inteligencja nie jest więcej uzależnioną i więcej poniżoną, jak w Polsce. [...] Nic więc logicznego być nie może – a że historia nie cierpi próżni, więc zapętnia ten

Fot. Roxana Tutaj



rozstępn przypadkami, trafami, akcydensami, nieszczęściami". Norwid ma rację? Nadal widać „grzech społeczności nie wojującej nigdy myślą"? Nieuczciwy udaje uczciwego, leniwy pracowitego, niesprawiedliwy sprawiedliwego. Diabeł ubiera się w ornat, oprawca mieni się ofiarą, złodziej woła: „łapać złodzieja". Niewierny chce uchodzić za wzór wierności, niemoralny naucza moralności. Bywa też, że dobry udaje gorszego, a mądry nie afiszuje się wiedzą. Na ile, i dlaczego, kłamstwa, mistyfikacje, „mijanie się z prawdą" zdomowały się w naszym życiu?

Pomieszało nam się. Prywatne ze wspólnym, pensje z zasiłkami, kłamstwo z prawdą, religia z magią, sacrum z profanum, obywatelstwo z poddaństwem, historia z mitologią. Także: państwowe z kościelnym.

Ignorancja plus czuje się u nas coraz lepiej. Czy dziwi to, jeśli uwzględnić, że w niemal co trzecim polskim domu nie ma żadnej książki; niewielkie jest poszanowanie dla wartości demokratycznych; kiepski poziom świadomości obywatelskiej; śladowa wiedza o podstawowych mechanizmach ekonomicznych?

Czy zatrzymamy rozkwit ignorancji-plus? Czy jest to możliwe bez porządnej, nie zdeformowanej, adekwatnej do potrzeb współczesnego świata edukacji?

Żyjący gdzieś pomiędzy ruinami a krainą mlekiem i miodem płynącą. Zaczadzeni dogmatami i ideologiami. Budujący, pośród niesnasek, polski nieład. Pływający w wodzie z kisielcem. Wybierający sobie kolejnych chochołów, człapiący pod ich przewodem.

Ersatz czy życie?

Świat więźniów z platońskiej alegorii jaskini jest światem pozorów, cieni, odbić, które jawią się im jako rzeczywistość. Jedyna rzeczywistość, bo innej nie znają, nie domyślają się nawet, że może ona istnieć. Nauczyli się nadawać nazwy cieniom i odbiciom, mają swój język. Rozmawiają nie widząc wzajemnie prawdziwych siebie.

Życie w krainie mentalnego nizu. Zabiorą, wymienią, rozdadzą. Pouczą, postraszą. Oceniają, posegregują. Pogłaszczą, potarmoszą. Poniżej, wywyższą. Zlikwidują, utworzą. Odślonią, poświęcą. Obostrzą, poluzują. Wprowadzą orwellowskie znaczenia. Wytworzą podróbki. Zdewaluują wartości.

Toporna propaganda. Kłamstwa bez nutki finezji. Okłamywanie kłamstwem ordynarnie prostym do zweryfikowania, kłamstwem, które uwłaczać może inteligencji okłamywanych.

Dlaczego nie demaskujemy – drugiego, siebie? Dlaczego pozwalamy grać szulerowi? Dlaczego sami gramy nie fair? Dlaczego udajemy, że masek nie widać? Dlaczego boimy się zdemaskowania? Na wszystkie pytania – dlaczego? – jest jeszcze jedna istotna odpowiedź, odpowiedź tych licznych, którzy uważają, że najważniejszym świętym jest święty spokój.

Jedenaste przykazanie. Nie bądź obojętny!

Marzyć o świecie, w którym nikt nie jest zmuszany do wierzenia w to, co narzuca władza, dominująca kultura, tradycja, obyczaj. Tęsknić za krajem, w którym nikt nie jest poniżany, obrażany, pogardzany – za to, że wierzy w wartości, które nie mieszczą się w ustalonych przed wiekami kanonach. Oczekiwać czasu, gdy ludzie wolni będą dokonywać prawdziwych, świadomych wyborów. Marzenia.

Wszystko powyżej – pomiędzy wstępem a zakończeniem – wyjąłem z tekstów zamieszczanych od czterech lat w tej rubryce. Efektem mojej reasumpcji jest kompilacja.

PRZYPISY

¹ John Donne (1572–1631), *Medytacja XVII*.

² Fiodor Dostojewski, *Bracia Karamazow. Legenda o Wielkim Inkwizytorze*.

Marta TOK

Na słodko-gorzko

Opowiadanie

Turecki menemen dla dwóch osób: na rozgrzanym tłuszczu (najlepiej masło z odrobiną oleju rzepakowego) trzeba zeszklić drobno pokrojone pół cebuli. Dodajemy zieloną podłużną paprykę pokrojoną w długie cienkie paski. Smażymy 4-5 minut. Następnie dorzucamy byle jak pokrojone dwa dorodne pomidory obrane ze skórki (mogą być z puszki) i smażymy aż połowa soków odparuje. Doprawiamy: sól, świeży pieprz i łyżeczka czerwonej słodkiej papryki. Na koniec wbijamy cztery jajka, lekko zamieszkamy, możemy przykryć pokrywką i chwilę podsmażyć do ulubionej konsystencji. Doprawiamy ostrą papryką turecką (taką, jak w kebabowniach) lub sproszkowaną chili. Podajemy obficie posypane posiekaną pietruszką.

Ciotka, którą ledwo znała, pozostawiła w spadku Krystynie Piórkowskiej mieszkanie w kamienicy. Krystyna była jej za to niezmiernie wdzięczna. Od kilku lat przychód z wynajmu zaokrąślał jej marne wynagrodzenie tłumaczki. To nic, że zarządzanie lokalem, zamieszkiwanym najczęściej przez studentów, regularnie przysparzało jej kłopotów. Aż do tej pory dawała sobie z tym radę bez większego wysiłku.

Zaparkowała starego citroena byle jak, na bramie, zastanawiając się, co właściwie się stało tym razem, że Zenon, samozwańczy dozorca kamienicy zażądał jej natychmiastowego przyjazdu. Nie zносиła faceta.

Ledwo otworzyła drzwi auta, dopadł ją.

– Pani Krysiu – wysapał świszczącym szeptem. – Dobrze, że już pani jest... Z tymi pani Arabami będą problemy, ja przestrzegałem...

– Dzień dobry – przerwała stanowczo – panie Zenku, oni nie są Arabami, tylko Turkami, a poza tym niech mi pan pozwoli wyjść z auta.

– Proszę panią... – sepleniał nerwowo Zenon – Proszę panią, nieważne, turasy czy araby, my tu sobie spokojnie żyliśmy... Nie potrzebujemy awantur...

Wzięła torebkę i zatrzasnęła drzwi do auta trochę zbyt głośno.

– Zaraz czegoś się dowiem panie Zenonie.

Minęła go i szybkim krokiem weszła do bramy i wbiegła na pierwsze piętro. Gruby dozorca nie miał szans jej dogonić. W mieszkaniu drzwi do pokoju Tarika i Samira były uchylone. Z kuchni wyszła współlokatorka i niechętnie spojrzała na Krystynę.

– Dzień dobry, co tu się dzieje pani Doroto?

– Nie wiem, chłopaków niech pani pyta – odpowiedziała dziewczyna wzruszając ramionami... Chyba po pysku dostali. Moje zdanie pani zna... Gdyby siedzieli u siebie...

– O tak, znam pani zdanie – przerwała Krystyna gwałtownie i weszła bez pukania do pokoju Turków.

Tarik leżał na łóżku z ręcznikiem na twarzy. Samir z rękami w kieszeniach džinsów stał bezradnie obok.

– Co się stało panie Ylmaz? – zapytała odruchowo po polsku, po czym powtórzyła – *what happened?*

Polski jej nowych lokatorów, studentów ekonomii na erasmusowskim stypendium był jeszcze słaby. W odpowiedzi Tarik zdjął z twarzy prowizoryczny opatrunek. Jego piękna twarz o regularnych rysach, twarz księcia orientu, jak lubiła go w myślach nazywać, była zmasakrowana i zalana krwią. Lewe oko zniknęło pod opuchlizną.

– Jezu – szepnęła chowając twarz w rękach. – Co się stało?! Kto to panu zrobił?!

Tarik milczał patrząc przed siebie.

– Nie znamy ich – odezwał się Samir po angielsku.

sku. – Byli chyba tu na przyjęciu, w mieszkaniu w oficynie. Wychodziliśmy dziś wcześniej rano, skręciliśmy na podwórze wyrzucić śmieci, tamci zobaczyli nas z balkonu i zbiegli na dół... Najpierw mnie kopnęli, bardzo mocno. Tarik chciał mnie bronić. No i zaczęli go okładać pięściami. Ja... – zająknął się – ja wybiegłem zawołać pomoc. Ich było pięciu. Inni stali na balkonie. Nie byli trzeźwi.

– I co, ktoś przyszedł, zareagował?!

– Ten gruby pan. Krzyczał z okna. Coś o policji. Nie wiem. I wtedy przestali.

– A policja była?

– Nie... nie wiem... chyba nie.

Krystyna w milczeniu stała na środku pokoju. Przepełniała ją prawdziwa furia. Na ten świat. Na ten kraj. Na tych popieprzonych, sfrustrowanych, nienawistnych ludzi.

– Bardzo mi przykro – powiedziała w końcu. – Zajmę się tym. Zapewniam was, że nie ujdzie to im na sucho. Ale teraz muszę pana, panie Ylmaz, zabrać na pogotowie.

Tarik poruszył głową w niemym proteście. Wreszcie spojrzał na nią swoimi dużymi czarnymi oczami, teraz przepełnionymi tak bezbrzeżnym smutkiem, że ścisnęło ją w żołądku. Myślała, że zapyta o coś, ale nic nie powiedział, jednak po chwili z trudem wstał z łóżka. Samir go podtrzymał.

– Niech pan poczeka.

Krystyna wzięła niezbyt czysty kompres i poszła zmoczyć go do łazienki. Wychodząc z toalety spostrzegła na drzwiach kartkę: „uwaga, łazienkę dezynfekować po KAŻDYM użyciu specjalnie przeznaczonym do tego płynem”. Zanim jej tu-reccy lokatorzy wprowadzili się do wspólnego mieszkania takiej kartki nigdy tu nie widziała.

– Ludzie naprawdę mają nasrane w głowie – westchnęła ze złością.

Dwa kroki od domu był szpital Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Kiedy weszli, ogarnął ich specyficzny zapach środków dezynfekujących, strachu i bezradności. Kilka osób siedziało w poczekalni. Dzwoniły telefony, co chwilę otwierały się drzwi windy, czasami przewożono kogoś na wózku. Jednak było tu i tak przyjemniej niż na pogotowiu w wielkim szpitalu wojewódzkim, w którym Krystyna spędziła kiedyś cztery godziny z ciotką.

Czekanie na lekarza przeciągało się. Przecho-

dzący przez hol ludzie rzucali ich trójce zacięte spojrzenia. W końcu zniecierpliwiona Krystyna podeszła do recepcjonistki.

– Proszę pani, trochę już to trwa od czasu, kiedy znajomy został pobity – powiedziała. – Oko cały czas puchnie. Czy nie mogłaby pani kogoś tu pilnie wezwać?

– I po co się pani tak angażuje? – odparła sucho rejestratorka. – W ich kraju może by pani w ogóle do szpitala nie wpuścili bez tych szmat na głowie.

– Tego pani nie wie. – Krystyna spojrzała na nią z hamowaną złością. – A poza tym, czy nie znajdujemy się tutaj w szpitalu Matki Bożej Nieustającej Pomocy? – dodała z ironią.

– Niech mi pani tu nie bluźni – sapnęła recepcjonistka. Jednak po chwili sięgnęła po telefon.

Krystyna usiadła na powrót koło chłopaków.

– Myślę, że zaraz tu ktoś będzie – mruknęła po polsku. Jak nie, to zrobię prawdziwy raban.

– Raban? – zapytał nagle Tarik.

– No awanturę. Skandal – dodała po angielsku.

– Tak? – uśmiechnął się nagle półgębkiem Tarik.

– I nie każą ci wy-pier-da-lać do swojego kraju? – wydukał po polsku.

– No niechby spróbowali – odparła zdecydowanym głosem Krystyna Piórkowska, czując niejaką ulgę, że orientalny książę, taki na ogół uprzejmy i wygadany, otrząsnął się wreszcie ze swojego stuporu.

W tym momencie przyszedł lekarz. Młody, na oko spokojny i sympatyczny, w kitlu, z przewieszonym przez szyję stetoskopem. Podeszedł do nich zerkając na dokumenty otrzymane od rejestratorki.

– I co, panie... Ylmaz? – zagadnął. – Mieliliśmy tu kolejną odzież wiedeńską, tak?...

Trzy tygodnie później Tarik przysłał maila. Pisał, że jest im bardzo przykro, ale niestety muszą wrócić do kraju ze względu na zmianę przepisów... Dziękują i przepraszają. Było jej trochę szkoda, no, ale rozumiała. Trudno. Znajdzie się ktoś inny, a przynajmniej nie będzie miała cały czas tej obawy podszytej wstydem, że jej lokatorom znowu wydarzy się coś niedobrego.

Mijały miesiące, potem lata, życie toczyło się dalej, a Krystyna zapomniła o orientalnych gościach. Tym bardziej, że wraz z rozwojem tanich linii lotniczych pojawiła się moda na wynajem krótkoterminowy, najczęściej w ramach Airbnb,

i Krystyna co chwilę spotykała przybyszów z całego świata – Japończyków, Ormian, Anglików, Francuzów, a nawet jednego bardzo dziwnego Niemca, który wynajął całe mieszkanie na trzy miesiące, zapłacił z góry, ustawił pięć komputerów, po czym zniknął na wiele tygodni. Szpieg? Troll internetowy? Wołała nie wiedzieć.

No, a potem świat zalała zaraza.

Wszystko stanęło. Nie było już komu wynajmować mieszkania. Studenci rozjechali się do domów. Samoloty przestały przywozić turystów. Pociągi z Berlina przyjeżdżały prawie puste. Zapanował wszechobecny strach i ludzie odizolowali się od siebie. Auta pielęgniarek i lekarzy pracujących na oddziałach leczących zarażonych były systematycznie dewastowane – wynoście się z tego bloku, kamienicy, ulicy! Nie chcemy tu wirusa!... krzyczały karteczki wkładane za wycieraczkę. Ze sklepów zniknęły makarony, mąka, cukier i papier toaletowy. Pewien człowiek zakrztusił się w supermarkecie, rozkaszał i został niemal zlinczowany przez innych klientów, mimo że był zdrowy. W całej Europie, ba, na całym świecie ludzie ukryli się w domach, a człowiekowi stał się wilkiem.

I właśnie wtedy Krystyna odebrała list z Turcji.

Tarik odzywał się po raz pierwszy od... Ilu to już? Ile lat minęło od tamtych okropnych wydarzeń? Chyba z sześć – pomyślała Krystyna.

„Droga Pani Piórkowska – pisał. Właściwie nie wiem, od czego zacząć, ale odkąd wyjechaliśmy lata temu, jest mi bardzo, bardzo źle z pewną myślą. Zanim znaleźliśmy Twój dom, przez prawie miesiąc szukaliśmy pokoju do wynajęcia i mieszkaliśmy w tym czasie w hostelu za dzienną opłatą. Możesz sobie wyobrazić, jak trudno jest pozostać w takim miejscu przez długi czas. Wtedy spotkaliśmy koleżankę ze studiów, która obieca-

ła, że nam pomoże. Długo to trwało, wielu właścicieli rezygnowało, gdy dowiadawali się, że chodzi o tureckich studentów. Potem znalazła pokój u Ciebie. W czasie rozmowy o warunkach wynajmu, nasza koleżanka powiedziała Ci, że będziemy tam mieszkać przez rok. My nie zaprzeczyliśmy. Ale to od początku nie była prawda... Jednak tak byliśmy zrozpaczeni pobylem w hostelu, drogim i pełnym dziwnych ludzi, że wzięliśmy udział w tym kłamstwie... Byłaś dla nas miła, pomogłaś nam wiele razy, a my po trzech miesiącach wyjechaliśmy z Polski. Tak, jak powiedziałem wcześniej, przez lata czuję się z tego powodu źle. Popełniliśmy błąd i mam poczucie winy... Byłaś dobrą i pomocną osobą... Może jest już za późno, ale chcę Cię teraz przeprosić. Proszę wybaczyć mi. Nie chciałem nadużywać twojego zaufania i przepraszam za to, co się stało. Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Ufam, że jesteś zdrowa w tym trudnym czasie, który nadchodzi oraz, że Twoi bliscy są zdrowi. Życzę Ci dobrego życia. I'm so sorry. Wszystkiego najlepszego. Tarik”

Krystyna wzruszyła się listem. Ale jednocześnie poczuła się jakoś lepiej. Ogarnęło ją nieoczekiwane przecucie graniczące z pewnością, że to wszystko – zaraza, izolacja, nienawiść – kiedyś skończy się dobrze. Poweselała. Postanowiła napić się mocnej kawy, a na kolację zrobić menemę, turecką jajecznicę, którą nauczyła ją robić koleżanka tłumaczka na pewnej konferencji w Stambule, lata świetlne temu, kiedy jeszcze ludzie nie bali się wzajemnie dotykać. Tymczasem wzięła kubek z kawą, usiadła do komputera i zaczęła szybko stukać w klawiaturę... „Dear Tarik, oczywiście, że pamiętam Ciebie i Samira”... Tu nie ma nic do wybaczenia, ale cieszę się, że napisałeś...”

Adam LEWANDOWSKI

Kiedy umiera poeta, umiera świat

Warto przypomnieć

Andrzeja Dębkowskiego poznałem z końcem XX wieku w Śremie podczas kolejnej edycji Międzynarodowego Listopada Poetyckiego. To człowiek o niezwykłym poczuciu humoru, erudyta, znający i znakomicie opowiadający – nie tylko literackie – anegdoty, obdarzony niezwykłą elokwencją, szacownym piórem literackim. Potrafi znakomicie tworzyć obraz świata, wzbogacając otaczającą przestrzeń słownym zaskoczeniem. Tak rozpoczęła się nasza literacka przyjaźń, która trwa do dnia dzisiejszego. Można stwierdzić, że Andrzej zasługuje na miano Śremianina – corocznie podczas festiwalu gości w Śremie, poznaje naszą śremską historię, ale również bardzo ceni Wielkopolskę – nasze cechy charakteru. Warto przeczytać jego znakomitą książkę *Kiedy umiera poeta, umiera świat*. Te wywiady są szczególnie, ponieważ nie były robione w jednym momencie, lecz na przestrzeni kilku lat i to bardzo dynamicznych lat. Rozmówców autor nie wybierał z „jednej półki”. Są tu i poeci, i prozaicy, i młodzi, i starzy, i znani, i mniej znani, i stąd, i zowąd – ale taki właśnie wachlarz daje duże spectrum tematów, problemów i emocji. Od 20 lat, każdego miesiąca, w mojej skrzynce pocztowej pojawia się elegancko zapakowany kolejny egzemplarz „Gazety Kulturalnej” – której twórcą, redaktorem naczelnym jest właśnie Andrzej. Ileż tam wiedzy literackiej, twórczości znakomych poetów, prozaików. To również wiele lat mojej współpracy z gazetą, wiele w niej moich publikacji. Trzeba również przypomnieć, że Andrzej publikował również swoje eseje w „Gazecie Śremskiej”. Po każdej edycji festiwalowej pojawia się w „Gazecie Kulturalnej” tekst opisujący wrażenia z pobytu Andrzeja w Śremie.

Urodził się w 1961 roku w Zelowie, gdzie mieszka do dzisiaj. Studiował w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Zmechanizowanych im. Tadeusza Kościuszki we Wrocławiu. Jest absolwentem Państwowego Zaocznego Studium Oświaty i Kultury Dorosłych w Warszawie. Na co dzień pracuje w Domu Kultury w Zelowie. Jest współzałożycielem Klubu Literackiego „Od-Nowa” w Bełchatowie, redaktorem serii wydawniczej „Biblioteka Od-Nowy”. W 1990 roku redagował pierwsze w województwie piotrkowskim pismo prywatne „Kurier Zelowski”. Był redaktorem naczelnym pisma kulturalno-społecznego „Twórcą”. Współpracował z takimi pismami, jak: „Akcje i Reakcje”, „Wiadomości”, „Wieści Zelowskie”, „Nowiny Bełchatowskie”, „Piotrkowski Informator Kulturalny”, „Kwartalnik kulturalny”, „Siódma Prowincja”, „Kalejdoskop”, „Iskra” i wielu innych.

Debiutował w 1988 roku. Publikował swoje wiersze m.in. w „Wiadomościach Kulturalnych”, „Okolicy Poetów”, „Gazecie Kulturalnej”, „Literackiej Polsce”, „Metaforze”, „Sycynie”, „Akancie”, „Siódmej Prowincji”, „Poezji dzisiaj”, „Autografie”, „Śladzie”, „Nawiasie”, „LiryDramie” oraz w kilkudziesięciu antologiach i almanachach – w prasie krajowej i zagranicznej. Jest autorem kilkuset publikacji prasowych. Jest laureatem konkursów literackich, wielu nagród i wyróżnień. Jego wiersze tłumaczono na język włoski, czeski, litewski, estoński, rosyjski, węgierski, serbski, ukraiński, niemiecki, grecki, białoruski, esperanto i ukazały się drukiem w piśmie literackich w Niemczech, Czechach, Rosji, na Węgrzech i na Litwie. Współpracuje, jako publicysta i eseista, z prasą kulturalną w kraju i za granicą. Jego prace eseistyczne były publikowane w wielu opracowaniach naukowych.

Prowadzi blog, który znakomicie się czyta. Jest członkiem Warszawskiego Oddziału i Komisji Kwalifikacyjnej przy Zarządzie Głównym Związku Literatów Polskich. Zasiada w Kapitułe Nagrody na Książkę Roku Międzynarodowego Listopada Poetyckiego w Poznaniu. Wydał wiele tomików poezji, m.in. *Wiersze wybrane* (1996), *Paryż nie jest taki piękny* (1998), *Magiczne pomysły, Felietony* (2001), *Wierzyć w siebie* (1993), *Kiedy umiera poeta, umiera świat. Rozmowy z pisarzami* (2004).

Otrzymał Nagrodę XXI Międzynarodowego Listopada Poetyckiego 1998 za książkę *Paryż nie jest taki piękny* i dwukrotnie Wielki Laur Międzynarodowej Jesieni Literackiej Pogorza: w 2000 roku za: stworzenie platformy dyskusji kulturalnej jaką jest „Gazeta Kulturalna” oraz w 2002 roku w dziedzinie publicystyki. Srebrny Medal Towarzystwa im. Hipolita Cegielskiego w Poznaniu – Labor omnia vincit za krzewienie idei pracy organicznej 2012. Jest też laureatem Nagrody Marszałka Województwa Łódzkiego w kategorii Dziennikarz roku 2015.

Andrzej Dębkowski – poeta, krytyk literacki, dziennikarz, wydawca, eseista... znakomity facet. Już zapowiada, że pojawi się w Śremie podczas kolejnej edycji festiwalu.

Andrzej Dębkowski

Nasza obecność

Mieliśmy się nie przejmować
odpowiedzialnością.

Zawsze możemy protestować
przeciw obojętności
trzymającej nas z dala od rzeczy ważnych,
stanu obłączenia naszych umysłów
konwulsjami nieprawdy,
zalewających
wszystkie stacje nadające
na różnych częstotliwościach utudy.
Jesteśmy udziałowcami
kłamstwa własnej tożsamości.
Przy włączonych mikrofonach
cieszymy się coraz częściej,
że nasz prywatny świat jest w porządku.
Coraz częściej wracamy do przeszłości,
ale jej śladów nie znaleziono w żadnym pliku.
Pozostała pamięć.

Czulość dobrego ojca
okazywała się najważniejsza
i miała ludzkie oblicze.
Pamiętam,
jak siadał na swoim starym krześle,
spokojny jak zawsze,
jak wtedy, gdy żył
i kiedy pytał
czy stać mnie na gest pokory.
Czasami dodawał:
lubimy robić z siebie widowisko
śniąc o sprawiedliwym życiu.

Marta WOJTYSIAK

Mój Rzym. Część 5

„Atmosfera” na świecie nie zachęca do podróży. Do standardów organizacyjnych, które teraz wydają się niczym, dochodzą obawy o wylot, powrót czy wynik testu. Wszystko to wzbudza niepokój. Głośno przyznaję, że gdyby nie świadomość ulotności życia, miłość do Włoch i zew podróży (okazuje się, że dużo tu bodźców motywujących) przesiedziałybym ten czas na kanapie w oczekiwaniu... tylko, nie wiem na co! Na lepszy czas? Przecież ten, który jest, jest najlepszym z możliwych, słyszę szepc w sobie, a serce przyklaskuje. I tym sposobem w czerwcu szykuję się do wyjazdu. Już na lotnisku czuję, że to była słuszna decyzja. Panuje tu spokój, cisza i bardzo przyjazna atmosfera. Ludzie są wyluzowani, łączy nas to samo pragnienie. Jednak dopiero w samolocie zaczynam czuć lekkość, zaczynam czuć, że jestem w podróży.

Lotnisko w Rzymie równie przyjazne, od lat poprzednich różni je tylko o wiele mniejsza ilość podróźnych.

Widziałam już wiele twarzy Wiecznego Miasta, o wszystkich porach dnia i roku. Jednak nowa sytuacja zmieniła jego oblicze. Jest pusto. Snują się turyści, ale jest ich nadal mało, dodam że w dużej mierze to Polacy. Poruszanie się po mieście jest teraz naprawdę komfortowe, nie ma tłumów, kolejek, zapełnionych autobusów. Można się poczuć mieszkańcem Rzymu, takim spokojnie celebrytą w swoim miejscu zamieszkania.

Oprócz odczuć pozytywnych mam też świadomość ludzkich dramatów, bankructw, widzę ile miejsc świeci pustkami, ile zostało zamkniętych, może na zawsze. Często zakupom w małych sklepikach towarzyszy standardowe *grazie*, ale po nim następuje drugie, z wdzięcznością i pa-trzeniem w oczy.

Podczas tego wyjazdu jednym z moich celów jest odwiedzenie kilku wcześniej mi nie znanych miejsc. I tak pewnego ranka docieram do Coppedè tzw. Dzielnicy Wrózek. Została ona zaprojektowana i zbudowana przez florenckiego architekta Gino Coppedè w latach 1913–1927. Jej eklektyczny styl jest pełen elementów liberty, art-decò, baroku, manieryzmu, średniowiecza i antycznej Grecji! Wchodzi się tu przez bajkową wręcz bramę z maszkaronem, wewnątrz której wisi ogromny stary żyrandol, wokół którego podobno wieczorami latają nietoperze. Sama dzielnica to 26 budynków i 17 willi. Na środku placu widzimy Fontannę Żab. Najpopularniejsze budynki tutaj to właśnie Dom Wrózek i Dom Królestwa.

Na schodach jednego z budynków grupka studentów słucha wykładu przyglądając się dziełom Gina Coppedè. Na podwórzu najokazalszej willi przechadza się jej mieszkanka, w garażu stoi auto, toczy się zwyczajne życie, tyle że w niezwyklej scenerii. A w powietrzu unosi się zapach jaśminu, który obficie oplata tu płoty.

Jest spokojnie. Przemierzając uliczki tej magicznej części Romy słyszę własne kroki. Kiedy kończę spacer i kieruję się do wyjścia jeszcze kilka razy odwracam się za siebie wciąż odkrywając coś co mi umknęło i chyba upewniając się, że to miejsce rzeczywiście istnieje...

Jakiś czas temu byłam w kontakcie z właścicielką sklepu – galerii z odzieżą, obuwiem i biżuterią. Rozmawialiśmy o włoskich butach. Na moje stwierdzenie, że w Polsce dobrych butów nie mamy odpowiedziała: „Ale wy macie pierogi i Szyborską. Kocham jej poezję”. Rozczuliła mnie tym bardzo. Jej sklep mieści się w malowniczej dzielnicy Testaccio, wcześniej mi nie znanej. Wsiadłam na stacji Piramide, gdzie znajduje się prawdziwa piramida z XII r p.n.e – miejsce



Fot. Łukasz Piętrzak

spoczynku fundatora. Niedawno została odrestaurowana przez Japońskiego mecenasa sztuki Yuza Yagi, który przeznaczył na ten cel 2 mld euro. Obecnie można ją zwiedzać i podziwiać znajdujące się w niej freski.

Tuż obok mieści się cmentarz niekatolicki nazywany także protestanckim i angielskim, lub od dzielnic w której się znajduje Cmentarzem Testaccio. Pierwsze groby datowane są na 1716 r. jednak oficjalnie otwarto go w 1821 r. Dawniej zakazywano pochówku Żydów, aktorów, samobójców, wyznawców innych religii na cmentarzach katolickich. Dlatego tutaj za murami powstał cmentarz tzw. Wyklętych. Wśród krzaków bukszpanów, pini, oleandrów i wygrzewających się w słońcu kotów spoczywają mężczyźni i kobiety w różnym wieku i różnych narodowości. Pisarze, dyplomaci, naukowcy, rzeźbiarze, poeci, historycy, archeolodzy. Syn Goethego – August, młody poeta John Keats, Belinda Lee aktorka i od niedawna mój ukochany reżyser teatralny i pisarz Andrea Camilleri. Dla mnie to miejsce refleksji

i zadumy. Jest cicho, czasem tylko słysząc miarowe stukanie młoteczek o dłuto, kiedy powstaje inskrypcja na nowym grobie. Spaceruję alejkami, niektóre groby są niczym dzieła sztuki. Anioł Śmierci na grobie Emelyn Storry ufundowany przez jej męża, swą zrezygnowaną pozą wyraża cały smutek rozstania. Widzimy postacie w tańcu, symbole, popiersia, inskrypcje np. „Tu spoczywa ten, którego imię zostało napisane na wodzie”. Pomniki te oddają pamięć zmarłemu, są symbolem czegoś co kochał, kim był, lub podobizną jego samego.

Teraz swoje kroki kieruję do centrum dzielnicy Testaccio, placu na środku którego stoi fontanna z amfor symbolizująca historię tego miejsca. W starożytności znajdował się tu port, do którego przyływały statki z winem i oliwą w amforach właśnie. Z ich pustych skorup usypano widoczne do dziś wzgórze 100 m szer. i 30 m wys. Siadam na owym placu z kawałkiem pizzy z tutejszej piekarni i wtapiam się w życie mieszkańców. Większość ławeczek jest zajęta, ktoś rozmawia, dzieci

jeżdżą na rowerach, jakaś kobieta przyjechała z mężem na wózku i co jakiś czas pod rękę wędrują do pobliskiego drzewa i z powrotem, bardzo elegancka staruszka o lasce siada na przypadkowej ławce by... wypłować paznokcie. Psy wylegają się w cieniu. Powolność, chęć przebywania wśród ludzi, swoiste rytuały codzienności. Drzewa z fioletowym kwieciami usypały wokół siebie dywany. W fontannie chlupie woda. Błogość.

Okazuje się, że wspomniany sklep znajduje się 150 m od ławeczki na której siedzę... Wchodzę do środka, na podłodze drzemie znany mi ze zdjęć pies, kręci się jakaś kobieta. Zagaduję, czy jest właścicielką tego sklepu „si” odpowiada. „I kochasz poezję Szymborskiej?” pytam. „Marta?” I tak poznaję Michaelę, która ma tak niezwykły kolor oczu, że dwa razy pytam czy mogę w nie zajrzeć. Rozmawiamy o włoskich producentach butów – okazuje się że znamy i cenimy tych samych.

Z Testaccio wracam przez wzgórze Awentyńskie, zaglądam przez osławioną dziurkę od klucza na Placu Kawalerów Maltańskich. Na dłużej siadam w ogrodzie pomarańczowym, z którego rozciąga się widok na miasto. Przy ogrodach różanych zanurzam nos w pąkach wystających zza płotu. Jest późne popołudnie. Ciepłe światło otula wzgórze i ruiny Palatynu a także Circo Massimo, na którym roztawiona jest scena na letnie wieczory z operą. W tym momencie nie potrzeba mi nic więcej. Aż wibruje we mnie szczęście i poczucie dobrze przeżytego dnia.

Podczas tego wyjazdu odwiedzam także Florencję, w której zostaję 4 dni. I raz z cudowną polską przewodniczką, a raz sama przemierzam ją wzdłuż i wszerz. Poznaję historię miasta, fascynującego mnie rodu Medyceuszy. Zachwygam się dziełami Botticellego, Rafaela, Tycjana, Michała Anioła, Leonarda Da Vinci. O różnych porach dnia chodzę wokół cudnej Katedry podziwiając jak zmienia się w zależności od barwy kładącego się na niej światła i czując, że jej majestat i piękno nie mogą się we mnie zmieścić. Smakuję regionalne dania – króluje tu trufła. I piję wspaniałą kawę – tutaj to Illy.

Kiedy wsiadam do pociągu powrotnego do Rzymu, coś woła we mnie „dom” i ja się tak czuję, jakbym wracała do domu.

Dwa ostatnie dni spędzam na spacerach. Poranki na Campo de Fiori, południa na placach, w par-

kach, kawiarniach. Na zachody słońca lubię iść na Forum Romanum by „przewiesić się” przez barierki i patrzeć bez końca.

Ostatniego dnia rano odwiedzam Galerię Borghese, w której nie byłam już 5 lat. Odbywa się tu teraz sponsorowana przez dom mody Prada wystawa prac Damiena Hirsta. Początkowo czuję jakby wzburzenie, jak tak kontrowersyjne i współczesne prace mogą stać wśród klasyki rzeźb, malarstwa, fresków. Po jakimś czasie jednak odczuwam dobrodziejstwo tych kontrastów, mam poczucie że na swoim tle jedne i drugie nabierają mocy, ożywają się, pada na nie świeższe wejrzenie. Później siedzę jeszcze na kamiennej ławce przed Galerią w pełnym słońcu, zapamiętując dotyk jego promieni, dźwięki, język w którym mówią mijający mnie ludzie. Trwam w miłosnym uścisku z Rzymem.

Na ten wyjazd kupiłam bilet w jedną stronę, chciałam poczuć swobodę, wolność i wrócić, kiedy poczuję to w sercu. Był to mój wyjazd jubileuszowy 30. raz w ciągu 10 lat – wtedy też było lato.

I znowu kiedy patrzę na te zapisane kartki widzę, że mocą wyjazdu jest ciekawość, pasja, spotykani ludzie, otwartość, zaufanie do świata, miłość, umiejętność cieszenia się chwilą która trwa. I głos serca, z którym trzeba iść. Czasem z lękiem, niedowierzaniem oglądając się za siebie. Ale iść. Ono wie najlepiej, jest najczystszy głosem, który mamy.

Gdzieś ostatnio przeczytałam, że kiedy „sprzysasz sobie wszystko Ci sprzyja”. Kolejny raz przekonałam się, że to prawda. W tym nowym świecie życie toczy się niezmiennie – jest światem, nocą, dniem, wieczorem, jest czasem, który nieustannie płynie. Nie możemy odłożyć go na później.

Z tego wyjazdu wracam przepełniona radością, zachwycona. Czuję, że układająca się we mnie nowa wiedza, emocje, uczucia zaraz pchną mnie krok dalej – ku nowym wyzwaniom, pragnieniom. Rozbudzą ciekawość.

Piękna spódnica od Michaeli, pierścień od Alesandry, woń przypraw, prażone migdały z Campo de Fiori, obraz z Florencji przedłużają życie moim wspomnieniom. Długie wędrówki zostawiły ślady na moich stopach. Patrzę na nie z miłością. Są niczym trofeum.

Pisząc ten tekst mam już kupiony bilet powrotny.

KWESTIONARIUSZ KULTURY



Fot. Złoty Liść Studio Fotografii Plastycznej

JERZY KONDRAS

Ur. 12 czerwca 1955 r. w Węgorzewie. Od ponad 40 lat związany z działalnością kulturalno-oświatową. Dyrektor ośrodków kultury w Brodnicy (1979-81), Dolsku (1981-1983) i Śremie (1983-1991), nauczyciel w Szkole Podstawowej w Bodzyniewie (1991-2004), dyrektor Biblioteki Publicznej w Śremie (2004-2021). Od 2021 r. aktywny emeryt. Wyżywa się w kuchni, pielęgnuje ogród, czasem pisze wiersze.

1 Kim jestem...

„Chciałem być kiedyś / artystą malarzem, / ale nie wyszło / nic z moich marzeń // myślałem, że będzie / ze mnie poeta, / czytają wiersz / i mówią – gdzie tam! / Dziś myślę na przekór / różnym osobom: / dobrze przynajmniej / że jestem sobą”. (Jan Czarny – O sobie)

2 Co jest najważniejszym osiągnięciem mojego życia...

Przebiegłem pięć półmaratonów w wieku już przedemerytalnym.

3 W czym jestem dobry...

W tym co wyniosłem z domu i bardzo lubię – w gotowaniu.

4 Co jeszcze chcę osiągnąć...

Uwolnić się od kredytu frankowego!

5 Co chcę w sobie zmienić...

Chciałbym się stać tak dobrym człowiekiem, za jakiego uważają mnie moje psy.

6 Co daje mi szczęście...

„To szczęście, ta przygoda: być na ziemi” (Mieczysław Jastrun) ...z wszystkim co kocham – z rodziną, zwierzętami, roślinami i życzliwymi ludźmi.

7 Najważniejszy dzień w moim życiu...

To każdy dobry dzień...

8 U przyjaciół najbardziej cenię...

Prawdziwy przyjaciel pozostawi ślad łap na twoim sercu (zasłyszane).

Bohaterstwo to dla mnie...

Życie moich Rodziców z czwórką malutkich dzieci w podczas powstania warszawskiego.

Epoka, w której chciałbym żyć...

„Być tu, przez chwilę, to więcej niż, na wieki wiedzieć. / Nie da się wskrzesić ani jednej chwili. / Trzeba być tylko w niej i nie podnosić ręki / Na rzeczy nie do podniesienia”. (M. Jastrun)

Największym nieszczęściem byłoby dla mnie...

Odosobnienie. Utrata wolności.

Najcenniejsza rzecz, jaką posiadam...

Życie. Z wszystkimi drobiazgami dnia.

Moja największa wada...

Mam kilka, ale cieszę się, że nie znajdują się one wśród siedmiu grzechów głównych.

Główna cecha charakteru...

„Łagodny / Każdą kieszeń obróciłbym w gniazda dla jaskółek odlatujących od ludzi”. (J. Przyboś)

Moje motto życiowe...

Cokolwiek czynisz, czyń roztropnie i przewiduj końca.

Ulubiony dźwięk...

Cisza w sercu i muzyka: Grechuta, Celińska, Nohavica, Wysocki, Cohen.

Dźwięk, który mnie denerwuje...

Fajerwerki, powodujące przerażenie zwierząt.

Nie mógłbym żyć bez...

Sensu życia.

Co wzbudza we mnie lęk...

Polityka. Ludzie z kłami i pazurami, parszczący jadłem.

Moje ukryte marzenie...

Jest ukryte.

Dar natury, który chciałbym posiadać...

Mam wystarczająco wiele darów natury... do pielęgnowania w moim ogrodzie.

Zawsze śmiesz mnie...

Kiedy znajomi po raz kolejny proszą, bym opowiedział im dowcip o ośmiornicy.

Słowo, którego nadużywam...

Nadużywanie czelegokolwiek nie jest dobre, więc staram się niczego nie nadużywać.

Zdanie o mnie, które zapamiętałem...

„Dziadku, jesteś jak doktor Dolittle, dbasz o wszystkich” (wypowiedź wnuka).

Myśl, która pojawia się, gdy nie jest najlepiej...

Będzie dobrze!

Osobie bliskiej nigdy nie wybaczę...

Wybaczajcie, a będzie wam wybaczone.

Wolność to dla mnie...

Wszystko to, co wyraził w swoim utworze *Wolność* Marek Grechuta.

Kim chciałbym być, gdybym nie był tym, kim jestem...

Wystarczy mi to, kim jestem. „Wszystko co czyni mnie innym, czyni mnie mną”. (Prosiaczek, A. A. Milne)

Obecny stan mojego umysłu...

„Już szron na głowie, już nie to zdrowie. A w sercu ciągle maj”. (Jeremi Przybora)

Kim chcę zostać w pamięci innych...

Jerzym Kondrasem.

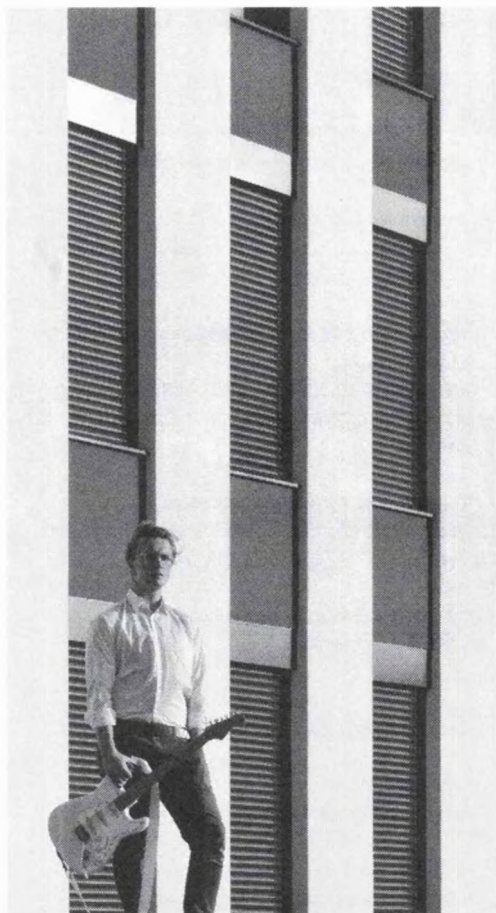
AUTOBIOGRAFIA (J.K.)

przecedź życie
zobacz co ci zostało na sicie

wybierz paciorki dobrych uczynków
diamentów szczerości poszukaj
rozłup kamień co spadł ci z serca
nie skalecz dłoni drzazgami złości
policz wbite gwoździe do trumny
zawiń to wszystko w pergamin miłości

i napisz własną biografię

NASZTALENT : Krzysztof Szulc



KRZYSZTOF SZULC

Rocznik 1997. Absolwent Liceum Ogólnokształcącego im. gen. J. Wybickiego w Śremie. Studiuje architekturę na Politechnice Poznańskiej. Tworzy muzykę. Rysuje. Projektuje.

Muzyka czy architektura? Architektura czy muzyka? Odpowiedź jest inna, gdyż według Krzysztofa dziedziny te znakomicie się uzupełniają. „Muzyka daje architektom to, co architektura im zabiera” – mówi. „Mam wrażenie, że na architekturze nauczyłem się o muzyce więcej niż mógłbym się nauczyć studiując na Akademii Muzycznej”.

Muzyka towarzyszyła Krzysztofowi od dziecka. Pierwsze były próby gitarowe na znalezionej na domowym strychu gitarze. A w zasadzie na dwóch gitarach, ponieważ grali razem z bratem. Potem przyszedł czas „bębnienia na wszystkim, na czym się dało”. Prawdziwe granie zaczęło się w momencie, kiedy w prezencie urodzinowym dostał od rodziców perkusję, co miało miejsce w ostatniej klasie szkoły podstawowej. Długo nie trzeba było czekać, aż powstały pierwsze muzyczne projekty, wraz z rówieśnikami, którzy również rozpoczynali swoje przygody z instrumentami. Zmieniały się nazwy zespołów. Zmieniały się też składy.

„Było to lokalne środowisko muzyczne. Bywało, że w kilku garażach na raz, podczas jednego wieczoru grało się rotacyjnie całonocne improwizacje pomiędzy zespołami”. Na przestrzeni lat powstało parę nagrań, a wyjazdy koncertowe przybierały coraz większy zasięg.

Pomysł studiowania architektury pojawił się w czasach licealnych. Jako dziedzina artystyczno-techniczna, wydawał się to być strzał w dziesiątkę – co po kilku latach znajduje swoje potwierdzenie.

Zainspirowany przez ambitnego kolegę z licealnej klasy mat-fiz, jeszcze przed maturą rozpoczął przygotowania do egzaminów wstępnych na architekturę. W 2016 roku został studentem Politechniki Gdańskiej, natomiast obecnie kontynu-

uje studia inżynierskie na Politechnice Poznańskiej, przymierzając się do semestru dyplomowego. W międzyczasie pracuje w poznańskiej pracowni architektonicznej.

„Widzę przestrzeń muzyczną okiem architekta. Dzięki architekturze, lepiej rozumiem, w jaki sposób tworzę (buduję) swoją muzykę”.

Wpływ architektury widać też w tworzonych przez niego grafikach – to obrazy będące dopełnieniem tworzonej muzyki. „Wyobrażenia przestrzenne działa również w muzyce, a muzyczna swoboda i zmysł kompozycyjny pomaga mi podczas studiowania architektury”.

Swoją muzykę tworzy od podstaw, zaczynając od pomysłu, poprzez sesje nagraniowe, aż do etapu postprodukcji. Jego kompozycje najczęściej powstają spontanicznie, jako ekspresja przeżywanych w danej chwili emocji. „W takich chwilach rozpoczynam nagranie bez żadnego planu i pozwalałam dźwiękom wypłynąć z głębi duszy. Kiedy już powstanie spójna opowieść, dopisuję do niej kolejne warstwy, otwierając nowe przestrzenie. Ucząc się stopniowo od bardziej doświadczonych muzyków lub realizatorów, dowiadując się o kolejnych studyjnych sztuczkach, opanowałem umiejętność nagrywania i produkcji muzyki do satysfakcjonującego poziomu, umożliwiającego konieczną niezależność i samowystarczalność. To pozwala na pełną swobodę i płynność w procesie tworzyć”.

W sieci można znaleźć jego autorską solową muzykę, którą tworzy pod różnorodnymi pseudonimami, wzbudzając tym ciekawość słuchaczy, oraz zachęcając do poszukiwań. W ten sposób dzieli swoją twórczość na pewnego rodzaju albumy, których tytuły przybierają kolejne nazwy, otwierają nowe muzyczne rozdziały. Tytuły-pseudonimy w pewien sposób definiują oraz uzupełniają klimat dzieła, które ma wymiar nie tylko muzyczny, a także osobowościowy.

„Cały czas jestem w drodze. To kolejne wcieleńia, które są połączone – każde kolejne ma swoje podstawy w poprzednim. To ciągła zmiana – postrzegania, odczuwania, świadomości. Ciągłe poszukiwania nowych rozwiązań. Ewolucja, niekończący się proces”.

Oprócz twórczości solowej Krzysztof zajmuje się też zespołowym, eksperymentalnym graniem. Jest członkiem poznańskiego sekstetu JEST, w którym gra na syntezatorach i elektrycznym



pianie, czasem zmieniając instrument na gitarę lub djembe i perkusjonalia.

„To muzyczne podróże w nieznaną, free-jazz, muzyka eksperymentalna”.

Uczestniczy także w spontanicznych improwizacjach, mających miejsce w poznańskim i śremskim środowisku.

„Najważniejsze, żeby złapać tę chwilę ... Emocje podczas tworzenia są absolutnie niepowtarzalne – za każdym kolejnym razem powstaje unikatowy twór”.

Jestem... jestem.

Chciałbym... więcej.

Myślę o... przyszłości.

Inspiruje mnie... architektura i piękno natury.

Potrafię... wszystko.

Lubię... dobrze się wyspać.

Muszę... chęć.

Żałuję... czasem...

Boję się... niczego się nie boję!

Joanna CHMIELEWSKA

Mój meksykański Bretzel

Kino niewidzialne, czyli Notatki o filmach...

mało znanych, zapomnianych, trudno dostępnych, egzotycznych, nietuzinkowych, a przede wszystkim o filmach wartych obejrzenia

„Kłamstwo to tylko inny sposób mówienia prawdy”

Paravadin Kanvar Kharjappali

Mój meksykański Bretzel zaczyna się właśnie od tego cytatu, który w jakiś sposób powinien nas ostrzec przed tym, co zobaczymy, choć w rzeczywistości kwestionowanie obrazów będzie miało miejsce a posteriori, ponieważ obrazy wyświetlane od pierwszej chwili nie są tym, czym się wydają. Dopiero na samym końcu widzowie odnajdą prawdziwy sens – klucz do tego materiału filmowego.

Film rozpoczyna czarno-białe nagranie z czasów II wojny światowej. Obraz przedstawiający pilotów jest opatrzony (jak informuje tekst wprowadzający w filmie) zapiskami z pamiętnika Vivian Barrett, która opowiada o sobie i swoim mężu Léonie. Mężczyzna w wypadku samolotowym stracił niemal całkiem słuch, co spowodowało, że nie mógł więcej latać. Znalazł zatem inną pasję i zajął się filmowaniem kamerą 8 i 16 mm. Wystawne życie pary po wojnie jest przedstawione w dalszej części filmu za pomocą materiału filmowego nakręconego przez Léona i fragmentów dziennika Vivian. Starannie zmontowane domowe filmy towarzyszą myślom i obserwacjom Vivian, a bardziej abstrakcyjny materiał wizualny przedstawia jej lęki, sekretne pragnienia i dręczące sny.

W swoim debiucie fabularnym Nuria Giménez Lorang z Barcelony traktuje obraz, dźwięk i słowo jako surowiec. Prowadzi z nimi dialog, tworząc enigmatyczny narracyjny amalgamat. Pomiędzy pozami i uśmiechami do kamery, w powściągliwym opakowaniu i aurze zdemaskowanej intymności, ten filmowy projekt jest przeglądem wspomnień Vivian Barrett, naszej powiernicy i narratorki tego filmu.

Osobliwością filmu *Mój meksykański Bretzel* jest bez wątpienia fakt, że przez 73 minuty materiału nie usłyszymy ani jednego słowa wypowiedzianego przez Vivian (praktycznie, nie licząc punktualnego komentarza o wyścigach samochodowych, nie usłyszymy żadnego słowa w ogóle). Słowo pisane jest więc elementem dobranym tak, aby portretowana w archiwach uśmiechnięta kobieta mogła podzielić się swoimi najgłębszymi przemyśleniami, wydobytymi z osobistych pamiętników, które niekiedy zaprzeczają wspomnianym obrazom. Powściągliwe wykorzystanie w filmie dźwięku wzmacnia wymowę obrazu i podkreśla przywoływane emocje.

No ale nie tylko brak dźwięku czyni ten film niezapomnianym... Niby co w nim tak wyjątkowego, zapytacie, przecież „nieme” kino to nie nowość. Również w filmach dokumentalnych już od dawna wykorzystuje się materiały z archiwów rodzinnych czy też amatorskich, tak zwane *found footage*.

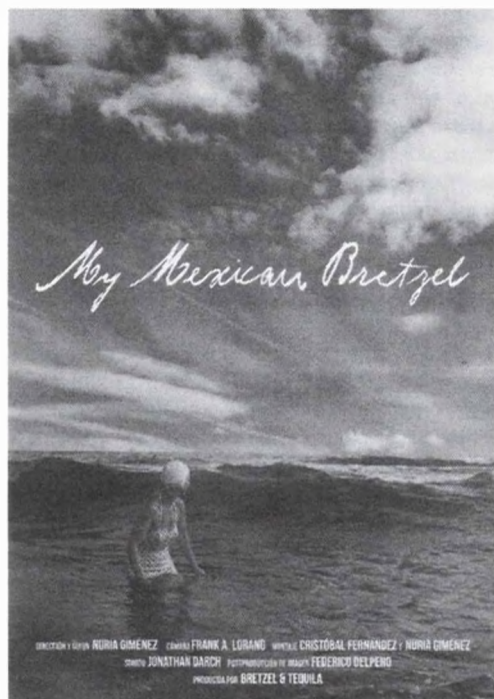
Otóż to co widzimy na ekranie jest pełnym kłamstwem, albo może prawdą opowiedzianą w inny sposób.

Pomysł na film zrodził się w 2011 roku, kiedy Nuria Giménez Lorang natknęła się na taśmy filmowe z lat 40. do 60. nakręcone przez jej dziadków, Ilse G. Ringier i Franka A. Loranga. Opierając się na tym bogatym materiale, który przedstawia parę jej przodków. Ona elegancka jak Ingrid Bergman; on, krzepki jak cyrkowy siłacz – podróżując po świecie – Paryż, Nowy Jork, Majorka, Florencja, kurorty górskie w Szwajcarii. Reżyserka zabrała się za planowanie wyrafinowanej i fascynującej konstrukcji filmowej: napisała pamiętnik w imieniu wymagowanej postaci. Vivian Barret, opowiada w nim o konkretnych momentach życia, zmartwieniach i naj-



skrytych myślach. Następnie reżyserka zilustrowała te słowa materiałem wybranym spośród 50 rolek 16 mm taśmy swoich dziadków. W ten sposób powstała imponująca audiowizualna *trompe l'oeil*!

Napisane słowa są tak prawdziwe; emocje opisane przez Vivian, tak szczere, że trudno im nie ufać. A jednak w tych momentach zupełnie bez dźwięku jest pewna niepewność, w jaki sposób wybrane ujęcia przeplatają się i dialogują z pisany monologiem. Ta wszechogarniająca cisza zuchwale pozwala na napisanie zdań typu „Jestem zaskoczona, że nie spędzamy całego dnia próbując się nawzajem zabić lub że się kochamy”. Słowa napisane są przez wymyśloną Vivian Barrett – zafascynowaną również nieistniejącym pisarzem – Paravadin Kanvar Kharjapali, którego nieustannie cytuję. Za sprawą tego wszystkiego bohaterka utkwii w naszych umysłach niczym niepodważalna prawda. Ten fałszywy dokument przedstawia wszechświat w tak żywy sposób, że trudno nam zaakceptować jego ostateczną nieautentyczność. Naprawdę wyjątkowy, niepowtarzalny film!



Jolanta ANDRZEJEWSKA

My i oni. Świetlista republika Andresa Barby

Z górnej półki

Kilka lat temu widziałam wstrząsającą instalację niemieckiej artystki Anne Imhof. Mały dom pośrodku terenów ekspozycyjnych stał otoczony ciężkim stalowym parkanem. Za tym złowieszczy płótnem biegały sprężyste dobermany. W określonych porach włączano dynamiczną muzykę, a tłum zwiedzających wchodził do środka budynku. Podłogę w dużej sali zrobiono z grubego, przezroczystego szkła, dzięki czemu doskonale było widać znajdujący się pod nią podziemny labirynt, z pozoru pusty, jeśli nie liczyć drobnych przedmiotów – kubków, talerzy, ręczników... Tu i tam kuliły się jakieś postaci. Byli to ludzie z krwi i kości, niektórzy w typie blisko-wschodnim. Od czasu do czasu ludzie ci – kobiety i mężczyźni – przemieszczali się pod nogami widzów. Ale miejsca mieli w swoim podziemiu akurat tyle by co najwyżej pełzać lub iść na czworaka. Spoglądając pod swoimi stopami nadbiegającą w ten sposób postać, widzowie instynktownie odsuwali się, chociaż przecież nie groził im bezpośredni kontakt z ludźmi pod szklaną podłogą. Instalację można było oglądać albo wchodząc do środka, albo obserwując wszystko z ogrodu przez olbrzymie okno. Najlepiej dycho-
tomię dwóch światów było widać właśnie z zewnątrz – w mrocznym świetle szklanego labiryntu, przemykające tu i ówdzie postaci bez twarzy, a nad nimi milczący, odsuwający się nerwowo tłum elegancko ubranych odbiorców sztuki. Na pierwszym planie – groźnie podniecone dobermany.

Przypomniałam sobie tę instalację pod wpływem lektury książki Andresa Barby, hiszpańskiego mistrza literatury, o którym jest na świecie coraz głośniejsze. Zastanawiam się nawet, czy jego książka, wydana w 2017 r., nie była bezpośrednią inspiracją dla niemieckich twórców.

Świetlista republika jest właściwie dłuższym opowiadaniem i można je przeczytać w jeden wieczór. Ale nie wiem, czy czytelnikowi starczyłoby odwagi, by przez kilka godzin z rzędu znosić to straszne napięcie, to przygnębiające oczekiwanie na dramatyczny finał, które bezustannie zapowiada narracja. W każdym razie ja rozłożyłam sobie tę książkę na raty.

Rzecz dzieje się w wymyślnym miasteczku San Cristóbal na skraju południowoamerykańskiej dżungli. Jej milcząca, złowieszcza obecność, pełna mrocznych ostępów, pożerającej wszystko zieleni, splątanej gęstwiny twardych traw oraz jadowitych węży, nasącza umysły mieszkańców nieustannym lękiem. Jednak ich największym problemem okazują się być bezdomne obce dzieci. Pojawiają się w mieście nagle. Nikt nie pamięta kiedy, nikt nie wie skąd przyszły. Niektórzy utrzymują, że w jednym momencie wyłoniły się z dżungli albo z rzeki. Ci bardziej pragmatyczni, jak nasz narrator, urzędnik miejski stojący na czele wydziału spraw społecznych ratusza, uważają, że po prostu dzieci utworzyły swoją społeczność stopniowo. Część z nich uciekła z domu, część zbiegła porywaczom, a jeszcze inne po prostu zgubiły się rodzicom. Dzieci żebrzą na rogach ulic, lecz robią to z pewną godnością, wręcz zuchwale, inaczej niż dzieci indiańskie, do których mieszkańcy San Cristóbal przywykli. Z kolei od dzieci miasteczkowych, „zwykłych”, różnią się nie tylko wyglądem, ale także językiem, którym się posługują. Brzmi on niczym świergotanie ptaków. Dopiero uważna obserwacja zafascynowanej przybyszami miejscowej nastolatki, pozwala rozszyfrować ten język: używają hiszpańskiego przerobionego dla swoich potrzeb, w taki sam sposób, jak niektórzy z nas robili to w dzieciństwie. By zachować swoje tajemnice przed doro-

słymi przerabialiśmy słowa dodając do nich pewien ustalony człon. I tak na przykład słowo „przygoda” stawało się po prostu ka-przy-ka-goka-dą, a słowo „uciekamy” – ka-u-ka-cie-ka-my. W ten sposób bezdomne dzieci z San Cristóbal porozumiewają się między sobą tworząc swój własny, zamknięty świat, obcy i z czasem budzący coraz większą obawę.

Dzieci są widziane to tu, to tam, w różnych zakątkach miasteczka, dwójkami, trójkami czasami większą grupą, wprawdzie brudne, ale jednocześnie wesołe i bez troskie, wywołując początkowo tylko zdziwienie. Potem dopiero pojawi się strach i niechęć. Zaczyna dochodzić do kradzieży, a nawet napaści na niespodziewające się niczego złego gospodynie domowe. No bo kto by się bał dzieciaków. Nawet umorusanej bandy. One mają przecież dziesięć, najwyżej trzynaście lat! Jednak ataki powtarzają się, stają się coraz bardziej agresywne, a mieszkańcy nie mogą już udawać, że problemu bezdomnych, głodnych dzieci nie ma. Żądają reakcji władz. Dzieci nie mają przywódcy, którego urzędnicy mogliby pojąć, osłabiając całą grupę. Nie wiadomo też, dokąd znikają w nocy. Przeczesywanie dżungli nic nie daje. Jednocześnie rodzi się niewygodny dylemat – jak tu ścigać dzieci i stosować wobec nich represje? Przecież nie różnią się one zbyt od naszych, rodzonych pociech, z tym, że nie miały zbyt dużo szczęścia w życiu i – tak czy inaczej – zostały porzucone. Wypchnięte poza margines społeczeństwa. Pewnego razu szarpanina z dziećmiakami doprowadza do przypadkowego strzału i śmierci policjanta. Po niej miejscowy dziennikarz ostrzega: „Tylko ktoś równie nierozsądny, jak nasz burmistrz może w tej chwili zwątpić w katastrofę, która czeka nas nieuchronnie, jeśli nie rozwiążemy problemu dzieci ulicy”.

Jak to się wszystko skończy? Nie licz na *happy end*, drogi Czytelniku.

Książka Andresa Barby nie jest łatwa. Przede wszystkim nie mamy tu do czynienia z czystą, sensacyjną opowieścią. Autor naszpikował ją tak wielką ilością refleksji na temat kondycji człowieka, relacji i więzi międzyludzkich, że często główny wątek znika z pierwszego planu narracji. Ale dzięki temu proza Barby jest ciekawa i niejednoznaczna. A przy tym – budząc czasami grozę – jest też niezwykle barwna. Niepokoi i zachwyca jednocześnie. W jakimś sensie autor na-

wiązuje do popularnego w prozie iberoamerykańskiej realizmu magicznego. Ale wydaje się, że historia może być także odczytywana jako metafora sytuacji w Europie, zwłaszcza teraz, gdy uchodźcy z Południa stanęli u naszych bram, budząc strach i sprzeciw. Jakże tajemnicza i niepokojąca jest obecność Innnych, którzy żyją na marginesie naszego społeczeństwa, mówią kompletnie niezrozumiałym językiem, wyglądają egzotycznie, przestrzegają dziwacznych i złowrogich rytuałów.

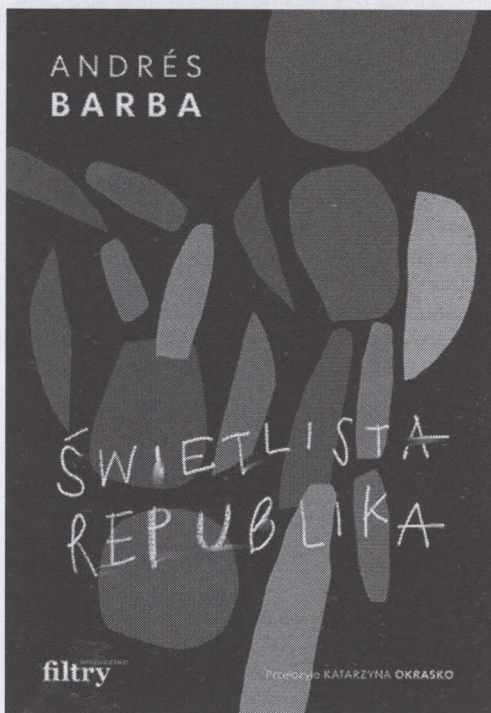
Patrzeć tylko, jak uwolnią się spod podłogi, rozbiją szklany sufit i zagrożą „naszym świętym wartościom”. Może już czas spuścić dobermanów ze smyczy?

Andres Barba

Świetlista republika

przekład Katarzyna Okrasko

Wydawnictwo Filtry, Warszawa 2020



Ewa BIAŁY

O formach muzycznych – od sonaty do formy sonatowej

Wszystko gra

Tytuł trochę enigmatyczny, ale samo rozwijanie się form w muzyce jest zagadkowe. Jaki związek ma forma sonaty z formą sonatową? Może taki jak forma językowa z językiem formalnym? Od sonaty, która wykształciła się w baroku obok suity, o której pisałam w poprzednim artykule, formę sonatową dzielą lata eksperymentów kompozytorskich i poszukiwań nowych form wyrazu. Zaczniemy jednak od sonaty.

Pierwotnie mianem tym określano każdy utwór, którego nie śpiewano. Te z głosem ludzkim (wokalne) nazywano nie sonatą a kantatą (wł. *cantata* – śpiewać). Sonata jako forma instrumentalna i wieloczęściowa rozwinęła się na przełomie XVI i XVII wieku, ale już 50 lat później teoretycy wyróżniali dwa jej typy.

Pierwszy to *sonata da camera* – sonata świecka, komnatowa (wł. *camera* – pokój), przeznaczona do muzykowania domowego, kameralnego w gronie przyjaciół i rodziny. Przypominała w swojej budowie suitę, zawierała części taneczne, nawet te z tak zwanej muzyki popularnej. Drugi to *sonata da chiesa* (wł. *chiesa* – kościół) – sonata kościelna, składająca się ze ściśle określonej ilości części. Pierwsza część była wolna, stanowiąca rodzaj wstępu, preludium, druga szybka, fugowana czy raczej imitacyjna – tworzona wg wymogów techniki polifonicznej (o tym napiszę innym razem), trzecia znów wolna, czasem zakradała się tu jakaś aria bądź inna pieśń i czwarta szybka – taneczna, co można było zauważyć tylko po charakterystycznych rytmach. Nie było bowiem w dobrym tonie nadawać części sonaty kościelnej nazwy tanecznej.

W życiu i w muzyce wyglądało to oczywiście inaczej. Formy nawzajem się przeplatały i inspirowały, mieszały tańce, arie, technikę polifoniczną i „charakter narodowy” czyli folklor,

koloryt języka muzycznego właściwy danej kulturze i – jak to często bywa – geografii.

Sonaty należą do form muzyki kameralnej. Najczęściej pisane były na jeden lub na dwa instrumenty solowe oraz *basso continuo* – czyli stałą i ciągłą, zapisaną linię melodyczną basu – najniższego głosu, dodatkowo oznaczonego cyframi. Musicie sobie Państwo uświadomić, że w czasach bez możliwości elektronicznego zapisu i jakiegokolwiek możliwości odtwarzania muzyki poza jej wykonywaniem na żywo, nie istniały prawa autorskie. Tworzenie muzyki polegało na przepisywaniu na papier bądź po prostu graniu muzyki, która pojawiała się w ludzkim umyśle. A pojawiała się ta, którą chłonny i wrażliwy na dźwięki kompozytor tworzył z otaczającego świata i zasłyszanych na koncertach, mszach, spotkaniach z przyjaciółmi, spacerach wśród pól dźwięków. Uczenie kompozycji w tych odległych czasach polegało na analizie rękopisów wybitnych poprzedników. Do tego trzeba było oczywiście umieć „usłyszeć” tę muzykę i często samemu umieć ją wykonać. Zdarzały się więc plagiaty i kłótnie, złośliwe krytyki, bezpodstawne oskarżenia i liczne skandale. Nie było wzorcowych wykonań, a jeśli muzycy nie polubili muzyki i kompozytora lub za mało im zapłacono... No cóż, bas cyfrowany i jego liczbowe oznaczenia pozwalające muzykom odszyfrować współbrzmienia harmoniczne – nie brzmiały dobrze.

Ostateczny kształt sonata osiągnęła w twórczości klasyków wiedeńskich – Josepha Haydna, Wolfganga Amadeusza Mozarta i Ludwiga van Beethovena. Jako sonata klasyczna, forma ta jest utworem cyklicznym na instrument solowy (np. sonata fortepianowa) lub instrument melodyczny i fortepian (np. sonata skrzypcowa). Składa się ona już nie z dowolnej ilości części, ale ściśle

określonych czterech, trochę na wzór sonaty kościelnej. Jednak w przeciwieństwie do kościelnej zaczyna się częścią szybką, a trzecia jej część, jest oficjalnie tańcem. I tak – część pierwsza Allegro (szybka), część druga Adagio (wolna), trzecia Menuet (taniec dworski) część czwarta Allegro (szybka). W ramach szybkich części pojawiały się wspomniane już tajemnicze allegra sonatowe, albo wariacje oraz ronda.

Czym jest allegro sonatowe? Przede wszystkim moim ulubionym pytaniem, kiedy ktoś próbuje mi wytłumaczyć rzecz, której nie mogę albo nie chcę rozumieć. Z powodu abstrakcji lub absurdu, np. podczas rozmowy z mechanikiem samochodowym lub urzędnikiem. Wtedy pytam: „A czy Pan wie co to jest allegro sonatowe?” Jeszcze mi się nie zdarzyło, żeby ktoś mi odpowiedział „Tak, wiem”. Podejmę się więc na łamach tej niezwykłej gazety próby wytłumaczenia allegra sonatowego na przykładzie... małżeństwa.

Allegro sonatowe składa się z ekspozycji, przetworzenia i reprzyzy, zwanej też rekapitulacją (to bardzo ciekawe słowo, posiada 56 synonimów w tym jedno dla nas teraz ważne – bilansowanie). Ekspozycja to prezentacja. W allegrze prezentowane są dwa tematy muzyczne. Kontrastujące. To zabawne, że nazywa się je czasami tak samo jak pleć. Pierwszy z nich jest męski, drugi żeński. Męski, główny – w tonacji wiodącej, najczęściej jest żywy, energiczny i dynamiczny w nastroju; drugi żeński (nazywany też o zgrozo! pobocznym) – z reguły stonowany i bardziej melodyjny. Innymi słowy ekspozycja w allegrze sonatowym to w relacji damsko-męska autoprezentacja. Czy to się zgadza z charakterami opisanymi w allegrze sonatowym, czy nie, nie ma większego znaczenia, tematy muzyczne nie są jednoznaczne tak samo jak ludzie i ich zachowania.

Po ekspozycji następuje przetworzenie. W technice kompozytorskiej jest to rodzaj zabawy, czy raczej pracy nad tematem. Kompozytor wykorzystuje fragmenty melodii tematów, żeby je zmienić w inny, ciekawszy, bardziej intrygujący i nie tak oczywisty sposób. Nie są to zwyczajne łączniki – czyli sposoby przejścia od jednej do drugiej myśli muzycznej. Tam się odbywa praca. Coś się łączy, coś rozdziela, coś nowego na chwilę pojawia, coś znika, ale cały czas słyszymy, że jesteśmy w tym niezwykłym świecie „obróbki danych” muzycznych. W życiu dwojga

ludzi to jest czas, kiedy już nie ma różowych okularów, jest tylko wspólne tworzenie wspólnego życia. Czasem zachwycające, czasem dramatyczne, ale budowane na własnych zasobach, własnych tematach.

Po przetworzeniu pojawia się reprzyza. Posiada z reguły te same fazy, co ekspozycja. Są one jednak inne w brzemieniu. Ujednolicone tonalnie. To znaczy, że obydwa tematy są sobie bliższe. Nie kontrastują. Można powiedzieć, że w życiu jest to stan zrozumienia, zbilansowanie zysków i strat. Czas podjęcia decyzji lub pełnej akceptacji. Potem następuje w muzyce koda – szczęśliwe, bądź nieszczęśliwe zakończenie. Koda jest zazwyczaj dynamiczna, czasem zawiera elementy wirtuozowskie, jeśli jest to na przykład część koncertu instrumentalnego. Tu jest bardzo duża przestrzeń do wyobrażenia sobie co to może oznaczać w życiu. Czy dramatyczną scenę przed rozstaniem czy wielki happy end. Ale niewątpliwie jest to koniec jakiegoś etapu. W muzyce jest to koniec allegra sonatowego.

Allegro sonatowe było i jest używane nie tylko w sonatach, ale również w symfoniach, koncertach, muzyce kameralnej – triach, kwartetach, czasem w uwerturach operowych. Jest bardzo rozpowszechnione. Dualizm tematów, praca przetworzeniowa i wielkie finały pozwalają na tworzenie coraz bardziej rozbudowanych form allegra sonatowego, szczególnie w dziełach symfonicznych. Cała symfonia XIX i XX wieku opiera się na tej formie.

Kiedy następnym razem będę zmuszona okolicznościami zapytać mojego rozmówcę „A wie pan co to jest allegro sonatowe?” – jeśli odpowiedź będzie brzmiała „Nie” – odeślę go do tego artykułu. Wierzę jednak, że nie będzie się to już tak często zdarzało.

Urszula ŁUKOMSKA

Pory roku w malarstwie. Część 5 – jesień

Jesień, najbardziej kolorowa pora roku była częstym motywem malarskim. Żłotoczerwone liście drzew, wielobarwne pola, niżej zawieszone nad horyzontem intensywnie żółte słońce, ludzie przy pracach polowych, ptaki szykujące się do odlotu, martwe natury z jesiennymi bukietami, słowem urozmaicony wybór motywów. W tym cyklu

skupiam się na przedstawieniu najbardziej znanych obrazów z przełomu XIX i XX w., czyli od polskiego realizmu przez symbolizm i Młodą Polskę. To okres najbardziej rodzimej twórczości przynajmniej w treści, choć w metodzie nie odbiegającej od artystów Zachodu, gdyż sporo polskich malarzy kształci się w zagranicznych

Józef Chetmoński, *Babie lato*, fragment obrazu



uczelniah, wyjeżdża do centrów sztuki we Włoszech, Niemczech, Francji, przyswaja sobie nowości. Za każdym razem wspominam, że wybór przykładów jest bardzo osobisty. Tym razem skupię się na najbardziej znanych obrazach mistrza realizmu Józefa Chełmońskiego, świetnym obserwatorze pracy chłopów Leonie Wyczółkowskim, ulubionym pejzażyście Stanisławie Kamockim i cudownym portrecie dziewczynki z bukietem chryzantem Olgi Boznańskiej.

Józef Chełmoński (1849–1914), który jako pierwszy dokonał przełomu w myśleniu o kompozycji malarskiej (skrót perspektywiczny) zawsze „studiował naturę”, a mając dar błyskawicznego zapamiętywania szczegółów potrafił odtwarzać rzeczywistość nie spoglądając do szkicownika. Przeszedł klasyczną edukację w Monachium, doskwierała mu bieda, ale później poznał też euforię sukcesu. W Paryżu jego obrazy sprzedawały się zanim zaschła na nich farba, a w Warszawie długo nie poznano się na geniuszu malarza. Najbardziej dziś rozpoznawalny obraz mistrza z okresu po powrocie z Monachium *Babie lato* (olej 119x156,5cm, MNW) nie miał pozytywnych recenzji: „malowidło jest blade, bezsilne i bezbarwne [...] nie jest to malowanie ale smarowanie”. Takich określeń było więcej. Dziś obraz nas zachwyca. Nie dalej jak w maju i czerwcu pokazywany był w Muzeum Narodowym w Poznaniu na wystawie: *Polska. Siła obrazu*. Musiałam odczekać, zanim tłumek się przeczł, by przyjrzeć się z bliska i zrobić fotkę. Dziewczyna w chłopskim stroju leżąca na polu leniwie przesuwając w dłoniach nitkę babiego lata zapowiadającą jesień, w tle pasące się bydło, obok czarny czuwający psiak... proste w temacie, sympatyczne w nastroju, cudowne. Kolejnym lubianym przeze mnie obrazem jest *Jesień* (95x124 cm, MNP) przedstawiający dwójkę pastuszków zapalających niewielkie ognisko o zmierzchu, by rozgrzać się przed opuszczeniem łąki i pognaniem bydła do zagrod. Obraz jest tak sugestywny, że nieomal czuje się zapach palonych gałązek i traw, bo nikt nie płomienie wydzielają sporo dymu co pozwala sądzić, że zbliża się już wieczorna rosa. Obraz nastrojowy, prawie monochromatyczny, w przewadze ugrów i brązów, jakby ilustracja do powieści pozytywistycznej. Ogląda się z przyjemnością. Lubię też



Leon Wyczółkowski, *Kopanie buraków*, fragment obrazu

Odłot żurawi w MNK z 1870 r., ale jeszcze bardziej podoba mi się kolejny o tym tytule, namalowany rok później, dziś w prywatnych zbiorach.

Trochę inaczej jesień maluje jeden z najwzrostniejszych twórców polskich Leon Wyczółkowski (1852–1936), malarz i grafik, artysta o którym mówiło się, że potrafił namalować wszystko: obrazy rodzajowe, historyczne, pejzaże, akty, portrety a nawet obrazy religijne. Malował jesień w kontakcie z żywą przyrodą, z wiejskim pejzażem i pracującymi ludźmi. Studiował w Warszawie, Krakowie i Monachium, a po otrzymaniu niewielkiego spadku po dziadku wyjechał do Paryża, gdzie panował impresjonizm w sztuce, którym się zachwycił lecz przetworzył na własny sposób. Będąc profesorem w Akademii Krakowskiej razem z ówczesnym rektorem Julianem Fałatem postawił na unowocześnienie szkoły, by tym samym oderwać się od koncepcji matejkowskiej. Lubił i popierał wypadki w plener szczególnie wyjazdy na Ukrainę, tak atrakcyjną pejzażowo i etnograficznie. Można założyć, że



Stanisław Kamocki, *Dworek jesienią*, fragment obrazu

było to odnowienie przymierza z naturą by zrzucić pęta akademizmu. Tematami były: praca na roli, kopanie buraków, pędzenie bydła, orka, łowienie ryb. Malował często rankiem lub o zachodzie słońca, gdy barwy były intensywniejsze. *Jesienne kopanie buraków* ma kilka wersji. Mnie podoba się obraz z 1903 r. z muzeum w Bydgoszczy (137x71cm, olej na płótnie). Mężczyzna w czerwonym kubraku kłęczy odwrócony tyłem do widza, ale w jego postawie czuje się skupienie na pracy. Stojąca obok kobieta w kolorowej spódnicy, żółtej bluzce i czerwonej chustce odbiera i oczyszcza warzywo. W tle rządca na koniu pilnujący zbiorów. Zieleni upraw kontrastuje z ziemią i rozlewiskiem w tle, całość malowana szerokimi pociągnięciami pędzla – bardzo nowatorsko jak na tamte czasy.

Z wielu jesiennych pejzaży wybrałam obraz Stanisława Kamockiego (1875-1944), ulubionego ucznia Stanisławskiego, *Dworek jesienią*, 1909 r., MNW. W kompozycji widać wpływy modnej wówczas secesji, głównie w malowniczo wygiętych drzewach, ale i swobodnie kładzionych warstwach farby, w wyrafinowanej gamie ciepłych brązów i kontrastujących bieli kolumnady w fasadzie. Nie należy zapominać, że typ polskiego dworu z dwuspadowym dachem i kolumnowym portykiem był solą w oku zaborców nawet jeśli tylko na obrazie. Uroczy pejzaż był często reprodukowany i powielany.



Olga Boznańska, *Dziewczynka z chryzantemami*, fragment obrazu

Na koniec kilka zdań o moim ulubionym portrecie. Jesienny klimat podkreślają kwiaty kwitnące o tej porze roku. To *Dziewczynka z chryzantemami*, 1895 r., MNK Olgi Boznańskiej (1865-1940). Artystka genialna, jedna z pierwszych studiujących kobiet, nazywana czasem malarką smutku, wyjątkowo wyczulona na niuanse kolorystyczne w gamie szarości, bliska pointyilizmowi w sposobie kładzenia farby i symbolizmowi w tematach. Portret jest nastrojowy, tajemniczy wręcz niepokojący, z powodu ogromnych oczu wpatrzonych w widza. Budzi dreszcz... Pięć białych chryzantem trzymanych w dłoniach rozświetla srebrną szarość, a odnosząc się do pory roku uświadamiamy sobie, że jesień to nie tylko radosna gama żółci i czerwieni, bo po złotej nadchodzi ta słotna.

Bartosz KLIMCZUK

„Lotem do domu” Polacy uciekają z Peru



B&B przez Ameryki. Część 13

Kolejne dni naszego pandemicznego aresztu w Paracas mijały, a sytuacja wcale nie zdawała się w Peru poprawiać. Wręcz odwrotnie, w kraju zostały wprowadzane kolejne obostrzenia, które w znaczący sposób dotyczyły także nas. W pewnym momencie, nawet w tak małej miejscinie, gdzie my przebywaliśmy, pojawiło się wojsko i policja pilnująca tego, aby pozostali w Paracas turyści nie wychodzili bez powodu ze swoich hosteli i hoteli. W miejscu, które było naszym „aresztem domowym” oprócz nas mieszkała także belgijsko-francuska para, dziewczyna i chłopak z Holandii oraz emeryt z Francji. Trzeba przyznać, że naszych współtowarzyszy niedoli dobry humor nie opuszczał. Bardzo chcieli kontynuować swoje podróże i przekonywali nas (siebie w duchu chyba również), że zaraz się to wszystko skończy. My takimi optymistami na tym etapie już nie byliśmy. Szybko dowiedzieliśmy się, że w Peru poza nami pozostała ponad setka Polaków. Jako, że w kupie różnej, została utworzona na messengerze grupa, gdzie rodacy wspólnie zastanawiali się co w sytuacji całkowitego lockdownu w Peru zrobić. Większość była zgodna co do tego, że należy naciskać na polską ambasadę w Limie oraz polskie władze w kraju, na zorganizowanie dla nas wszystkich jakiegoś wsparcia. Na pewno w tym wszystkim pomogły polskie media, które chętnie relacjonowały naszą ówczesną sytuację. W zasadzie dzięki materiałowi, który powstał w Radiu Poznań, inni Polacy zgromadzeni już na messengerze mogli nas odnaleźć. Praktycznie do ostatniego dnia pobytu w Peru wśród Polaków panowała jednak atmosfera dużej niepewności. Ambasada w Limie zapewniała nas, że robi co może, aby zorganizować samolot w ramach rządowego programu „Lot do domu”, nie podając jednak bardzo długo żadnych kon-

kretów. Na duchu starał się nas wszystkich podtrzymać pan Piotr, Polak, a zarazem właściciel małego biura podróży w Peru. Zobowiązał się on, że gdy już będzie wiadomo coś o możliwości powrotu, to chętnie zorganizuje transport do Limy dla porozrzucanych po różnych miastach Peru Polakach. My, chociaż nie znajdowaliśmy się wtedy w stolicy, to i tak byliśmy we względnie dobrej sytuacji. Trzeba bowiem mieć na względzie, że polska ambasada w Peru obejmuje swoją administracją także Ekwador i Boliwię, a tam Polacy mieli ogromne problemy żeby chociażby przekroczyć granicę i dostać do Peru bo, jeśli już, to samolot powrotny będzie odlatywał właśnie stąd. Z pewnością łatwego zadania nie mieli również rodacy, którzy w czasie lockdownu przebywali akurat w peruwiańskiej dżungli, skąd wydostać się mogli wyłącznie łodzią lub innym samolotem.

Do trudności, jakie miała polska ambasada w Limie w organizacji „Lotu do domu” podchodziliśmy z pełnym zrozumieniem. Polskie Linie Lotnicze wcześniej tylko raz (w 1938 roku!) leciały z Peru do Polski, nie było więc na przykład zawartych żadnych umów regulujących możliwość pokonywania przestrzeni powietrznych konkretnych państw. Laik (a myśmy wtedy zdecydowanie do nich należeli) nie zdaje sobie sprawy, ile biurokratycznych procedur musiały pokonać samoloty PLL LOT, aby Polacy porozrzucani po całym świecie bezpiecznie mogli wrócić do ojczyzny. Pandemia tylko to wszystko jeszcze dodatkowo utrudniała.

Nastał jednak w końcu ten dzień, kiedy ambasada poinformowała nas, że zostanie zorganizowany dla nas i Polaków w Meksyku samolot. Pierwsze informacje jakie do nas docierały szybko gasiły jednak nadmierny entuzjazm – biletów miało



Na lotnisku wojskowym w oczekiwaniu na wejście na pokład samolotu

bowiem nie wystarczyć dla wszystkich zainteresowanych... Pracownik polskiej placówki dyplomatycznej w Peru był wręcz zalewany pytaniami, gdzie się na „Lot do domu” zapisać. Ponownie poproszono nas o cierpliwość, szczegóły miały być właśnie dogadywane. Myliłby się ten kto by sądził, że wspomniany samolot zawiezie nas do Polski całkowicie za darmo. Musieliśmy pokryć część kosztów lotu, które wynosiły mniej więcej 1400 zł na głowę. W tej cenie był wliczony także późniejszy transport z Warszawy do innych dużych miast wojewódzkich w Polsce. Pieniądze jednak w tamtych okolicznościach nie grały roli, a gdyby nie program „Lot do domu”, powrót do Polski mógłby być możliwy wyłącznie lotem rejsowym niektórych zagranicznych przewoźników, który kosztował mniej więcej 1000 euro. Żadnego zastanawiania się więc nie było.

W tamtym momencie byliśmy przekonani, że tworzenie listy zainteresowanych powrotem i dokonanie płatności za bilet odbędzie się w jakiś

ludzkich warunkach, najlepiej przez internet. Tak się jednak nie stało. Ambasada poinformowała nas, że aby zapisać się na lot musimy skorzystać z ogólnodostępnej infolinii, poczekać aż odbierze odpowiedni pracownik PLL i z nim dokonać wszelkich formalności. Niech szanowni czytelnicy „Gazety Śremskiej” zdadzą sobie sprawę z tego, jak to musiało wyglądać – infolinia była wręcz szturmowana telefonami, a czas oczekiwania wynosił nawet do 8 godzin, przy czym nie wiadomo było, kiedy ktoś z drugiej strony odbierze. Trzeba było po prostu tyle czasu pozostać na linii. W pewnym momencie mieliśmy już serdecznie dosyć muzyczki, która miała „umilić” oczekiwanie na połączenie. Holendrzy i Francuzi z wielkim zdziwieniem patrzyli, jak wszędzie chodziliśmy z włączonym na tryb głośnomówiący telefonem, czy to do kuchni, aby zrobić sobie obiad, czy do toalety, w wiadomym celu. W pewnym momencie, oprócz oczywistego stresu, byliśmy dodatkowo mocno już wkurzeni, ponieważ



Profesor Antonina Śniadecka-Kotarska, ambasador RP w Peru, Ekwadorze i Boliwii przemawia do Polaków zgromadzonych przed ambasadą na chwilę przed odlotem. Fot. Jędrzej Kotarski (Embajada de Polonia en Lima)

gdy wreszcie ktoś ze strony LOT-u odebrał, zaraz praktycznie się rozłączył. Cały proces musieliśmy powtórzyć...

I tak nie należeliśmy do największych pechowców, bo ci z Peru nie mogli nawet zadzwonić na tę infolinię i musieli prosić o pomoc innych. A zdarzały się też takie sytuacje, że płatność, także załatwiana przez telefon, pomimo wielu prób nie przechodziła. U nas na szczęście za drugim razem udało się wszystko załatwić i można powiedzieć, że mieliśmy już bilet w rękę. Przez ten cały czas większość naszych hostelowych współtowarzyszy niedoli namyśliła się i również postanowiła wracać do swoich ojczyzn.

Pan Piotr dotrzymał słowa i mały busik jadący z drugiego końca Peru zatrzymał się w Paracas, aby odebrać nas i, jak się miało okazać, także dwójkę innych Polaków. Organizowanie tego transportu także nie należało do najłatwiejszych, ponieważ w Peru obowiązywał kategoryczny zakaz przemieszczania się między miastami. Od-

powiednie, imienne dokumenty na każdego z nas musiała załatwiać polska ambasada, abyśmy w ogóle mogli opuścić Paracas. To nie był jednak jedyny problem. Lot miał odbyć się następnego dnia, a w Limie nie mogliśmy przez ten czas spędzić nocy na ulicy. Nie chodziło w tym o wygodę, tylko nikt poza odpowiednimi służbami nie mógł przebywać w nocy na jakiegokolwiek peruwiańskiej ulicy. Na szczęście po wielu nieudanych próbach, jednemu z reprezentantów polskiej braci uwięzionej w Peru udało się znaleźć hotel, który zgodził się nas przenocować. Oczywiście nie musimy chyba wspominać, że tak ten nocleg, jak i transport do Limy musieliśmy opłacić z własnej kieszeni. Gdy już jednak leżeliśmy w hotelowych łóżkach, cieszyliśmy się, że następnego dnia czeka nas upragniony powrót do Polski, gdzie znoszenie pandemicznych obostrzeń było jednak dużo łatwiejsze, niż w Peru.

Katarzyna GRZEGORCZYK

Zmiany, zmiany – ale czy na lepsze?

Okiem belfra

Minęły wspaniałe, słoneczne wakacje. Czas odpoczynku dla tych, którzy cały rok ciężko pracowali, ale także dla tych, którzy musieli nauczyć się nowej szkolnej rzeczywistości w wersji online. Letnie tygodnie minęły szybko. Czas spędzony w podróży, na wypoczynku i zdobywaniu nowych doświadczeń pozwolił choć na chwilę zapomnieć o szkolnym świecie. Zarówno uczniowie, jak i nauczyciele z ulgą zamknęli platformy zdalnego nauczania, wyłączyli domowe komputery, by oddać się wakacyjnym przyjemnościom. Jednak to, co dobre, szybko się kończy i trzeba wrócić do szkolnej klasy. Uczniowie ze smutkiem z powodu zakończenia letniej bez troski, ale jednocześnie z radością, że znów zobaczą szkolnych kolegów. A nauczyciele? Nie da się ukryć, że w czerwcu z ulgą żegnali swych podopiecznych, ale zapewne po kilku tygodniach nieco zatęsknili za gwarem i energią, jakie towarzyszą młodzieży. Pytanie, czy tęsknili za szkołą, która jest miejscem pracy. I tu zapewne padają różne odpowiedzi. Bowiem tzw. góra szykuje sporo nowości. Zmiany dotyczyć mają i podstaw funkcjonowania nauczyciela, jego praw i obowiązków, ale także tego, co najważniejsze – merytorycznej treści, jaką należy przekazać młodym ludziom.

A zatem – zmiany, zmiany, zmiany. Czy na lepsze? Szkoła powinna być miejscem, które uczy tolerancji, szacunku dla drugiego człowieka i wiary w to, że świat może być miejscem przyjaznym i bezpiecznym. W szkole młody człowiek powinien odkrywać swoje pasje i zdolności. Właśnie tu powinien mieć możliwość nauczyć się samodzielności i poczucia własnej wartości. Nauczyciele i wychowawcy stoją przed bardzo trudnym zadaniem, jakim jest wprowadzenie dziecka w dorosłość. To właśnie u ich boku młodzież powinna poznać tajniki współżycia społecznego,

funkcjonowania w grupie, znajdowania swojego miejsca wśród rówieśników.

Oczywiście zadaniem szkoły jest również wypożyczyć w wiedzę, przekazać informacje, wskazać wartościowe źródła. Młody człowiek musi możliwie w towarzystwie swego nauczyciela budować zaplecze wypełnione wiedzą i umiejętnościami. Musi też poznać wartości ważne dla danego społeczeństwa i narodu. Powinien rozpoznawać i prezentować samym sobą właściwe postawy. Właściwe, czyli jakie?

I tu rodzą się wątpliwości, czy zmiany, które czekają polską szkołę, są na pewno zmianami na lepsze. Oczywiście nauka historii jest ważna, wskazywanie autorytetów bardzo istotne, pielęgnowanie kultury konieczne. Tylko, że nie możemy chyba zapominać, że szkoła musi być otwarta na każdego ucznia i musi nadążać za rozwojem otaczającej jej rzeczywistości. Nie neguję i nie odrzucam wartości, jakie niesie za sobą postać papieża Polaka, czy kardynała Wyszyńskiego. Jednak nie zamykamy się na współczesny świat i jego osobowości. Pozwólmy nauczycielowi mówić o ważnych sprawach i elementarnych wartościach także językiem współczesnego młodego człowieka. Dostosujmy treści programowe do potrzeb świata, w którym żyjemy. Zbudujmy oczywiście fundament kulturowy, historyczny, a nawet religijny, ale nie przekształcajmy szkoły w instytucję archaiczną i skostniałą. Dajmy młodym ludziom możliwość dokonywania wyborów, uczmy samodzielności w sądach i opiniach oraz wpajajmy, że tolerancja i szacunek to podstawa w relacji z drugim człowiekiem.

ŚREM



Więści z ratusza

ŚREMSKI ROWER MIEJSKI KOLEJNA STREFA PARKOWANIA

Śremski Rower Miejski wzbogacony o kolejną strefę parkowania rowerów. Od początku sierpnia rowery można pozostawić również na śremskim rynku, w pobliżu ratusza.

Rowery można teraz wypożyczyć i odstawić w 10 strefach: deptak Jeziorany, Plaża Miejska w Śremie, ul. Kilińskiego (niedaleko kościoła), ul. Mickiewicza przy Muzeum Śremskim, ul. Za-

menhofa przy boisku, Psarskie przy centrum sportowym, Rynek – Pl. 20 Października.

W przypadku pozostawienia roweru w innym miejscu naliczana jest dodatkowa opłata.

Osoby, które odstawiają do strefy rower pozostawiony w innym miejscu zyskują bonus 4 zł na swoje konto. W tym roku do dyspozycji jest 40 rowerów. Regulamin i wszystkie szczegóły dostępne są na stronie srem.bike



KONSULTACJE SPOŁECZNE PROJEKTU STRATEGII ROZWOJU GMINY ŚREM NA LATA 2021–2028

Działając na podstawie art. 30 ust. 1 ustawy z dnia 8 marca 1990 roku o samorządzie gminnym (tj. Dz. U. z 2020 r. poz. 713, z późn. zm.) i art. 6 ust. 3 i 4 ustawy z dnia 6 grudnia 2006 r. o zasadach prowadzenia polityki rozwoju (Dz. U. tj. z 2021 r. poz. 1057) burmistrz Śremu informuje o rozpoczęciu konsultacji społecznych projektu Strategii Rozwoju Gminy Śrem na lata 2021–2028.

Celem konsultacji jest zaprezentowanie projektu Strategii Rozwoju Gminy Śrem na lata 2021–2028 oraz zebranie ewentualnych uwag od mieszkańców, organizacji pozarządowych, przedsiębiorców i innych stron zainteresowanych.

Konsultacje prowadzone będą w okresie od 9.08.2021 r. do 13.09.2021 roku.

Projekt strategii jest dostępny na srem.pl.

Uwagi do projektu można składać w następujący sposób:

- W formie papierowej, na formularzu udostępnionym na stronie internetowej srem.pl, osobiście w biurze podawczym, pocztą na adres (decyduje data wpływu do urzędu):

Urząd Miejski w Śremie, Pl. 20 Października 1, 63-100 Śrem

- Elektronicznie przez wysłanie uzupełnionego formularza za pośrednictwem ePUAP (jako załącznik do pisma ogólnego), na adres mailowy strategia@srem.pl lub

- Za pośrednictwem formularza elektronicznego dostępnego na stronie srem.pl

Formularze niepodpisane lub dostarczone po terminie pozostaną bez rozpatrzenia.

TERMINY WYMIANY PIECÓW

W związku z zakazami i ograniczeniami dotyczącymi eksploatacji instalacji, w których spalane jest paliwo stałe, takich jak kocioł, kominek lub piec:

1) od 1 maja 2018 roku można instalować tylko nowoczesne urządzenia grzewcze, w których spalane jest paliwo stałe (węgiel, biomasa), spełniające wymagania rozporządzenia Komisji UE w zakresie efektywności energetycznej i norm emisyjnych tzw. ekoprojektu. Ponadto kotły opalane paliwem stałym muszą zapewniać automatyczne podawanie paliwa, za wyjątkiem instalacji zgazowujących paliwo i nie mogą po-

siadać rusztu awaryjnego oraz elementów pozwalających na jego zamontowanie,

2) do 31 grudnia 2023 roku trzeba wymienić wszystkie kotły pozaklasowe,

3) od 1 stycznia 2026 roku wszystkie zamontowane miejscowe ogrzewacze pomieszczeń tj. piece, kominki, kozy muszą osiągać sprawność cieplną na poziomie co najmniej 80% lub być wyposażone w urządzenie zapewniające redukcję emisji pyłu do wartości określonych w ekoprojekcie,

4) do 31 grudnia 2027 roku należy wymienić wszystkie kotły klasy 3 i klasy 4.

Zadania kontrolne w zakresie przestrzegania wprowadzonych przepisów będą prowadzić w szczególności strażę gminne i Inspekcja Ochrony Środowiska. Niezastosowanie się do powyższych zakazów będzie wiązać się z nałożeniem mandatu lub grzywny.

Osoby zobowiązane do wymiany pieca mogą ubiegać się o dofinansowanie kosztów realizacji inwestycji z Programu priorytetowego „Czyste Powietrze” (osoby fizyczne, budynki mieszkalne jednorodzinne), obsługiwane przez Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Poznaniu, ul. Szczepanowskiego 15A, 60-541 Poznań (tel. 61 449 92 54, 61 449 92 55, www.wfosigw.poznan.pl) lub ze środków budżetu gminy Śrem (tel. 61 28 47 138, 61 28 47 140, srem.pl).

NIESŁABIN W KONKURSIE

„PIĘKNIEJE WIELKOPOLSKA WIEŚ”

Sołectwo Niesłabin zostało laureatem XI edycji konkursu „Pięknieje wielkopolska wieś” organizowanego w ramach programu Wielkopolska Odnowa Wsi.

22 lipca 2021 roku podpisano umowę na udzielenie pomocy finansowej pomiędzy województwem wielkopolskim z siedzibą Urzędu Marszałkowskiego Województwa Wielkopolskiego, a gminą Śrem. Przedmiotem umowy jest udzielenie z budżetu województwa wielkopolskiego pomocy finansowej w formie dotacji celowej w wysokości 30 000 zł z przeznaczeniem na współfinansowanie projektu pn. „Rozbudowa placu zabaw szansą na aktywność, integrację i zabawę w Niesłabinie”. W ramach projektu zostanie rozbudowany plac zabaw oraz doposażona świetlica wiejska w Niesłabinie.

ZWIĄZEK „WIELKOPOLSKI TRANSPORT REGIONALNY” ROZPOCZĄŁ DZIAŁANIE

Związek Powiatowo-Gminny „Wielkopolski Transport Regionalny” to nowa organizacja samorządu terytorialnego, którą utworzyły 23 jednostki: miasto Poznań, powiaty: poznański, grodziski, kościański, nowotomyski i obornicki oraz gminy: Buk, Czempin, Dopiewo, Duszniki, Grodzisk Wielkopolski, Kórnik, Kuślin, Miedzichowo, Międzychód, Mosina, Oborniki, Rogoźno, Stęszew, Suchy Las, Śmigiel, Śrem i Tarnowo Podgórne.

Głównym celem jest umożliwienie osobom bez własnego auta swobodnego przemieszczania się na terenie administrowanym przez wszystkich uczestników Związku. „Wielkopolski Transport Regionalny” jest odpowiedzialny za organizację publicznego transportu zbiorowego. Pod względem zasięgu i oddziaływania jest największym związkiem powiatowo-gminnym w Polsce. Obszar jego działania to 4 730 km². Zamieszkuje go łącznie 1 062 256 mieszkańców rozlokowanych w 546 miejscowościach. Jak na razie linie regionalnego transportu drogowego docierają do 203 miast i wsi, które stanowią 37% miejscowości położonych na terenie Związku. 26 lipca 2021 roku wybrano władze Związku. Przewodniczącym został Jan Grabkowski, starosta poznański. Bartosz Guss, wiceprezydent Poznania i Tadeusz Czajka, wójt Tarnowa Podgórnego zostali wiceprzewodniczącymi. Zarządem kieruje przewodniczący – Piotr Hojan, burmistrz miasta

i gminy Grodzisk Wlkp., przy wsparciu dwóch wiceprzewodniczących – Adama Lewandowskiego, burmistrza Śremu oraz Tomasza Łubińskiego, wicestarosty poznańskiego, i członków Zarządu – Pawła Adama, burmistrza Buku i Andrzeja Wilkońskiego, starosty nowotomyskiego. Związek ma stać się właścicielem PKS Poznań SA, którego 100% akcji należy obecnie do miasta Poznania. Spółka ta, jako operator transportu zbiorowego, będzie miała w przyszłości ułatwiony dostęp do pozyskania środków unijnych na odnowę taboru. 7 września ma nastąpić przekazanie PKS na rzecz Związku.

URZĄD MIEJSKI W ŚREMIE BARDZIEJ DOSTĘPNY DLA OSÓB ZE SZCZEGÓLNYMI POTRZEBAMI

Urząd Miejski w Śremie przystąpił do realizacji dostosowania elementów przestrzeni w zakresie dostępności architektonicznej dla osób ze szczególnymi potrzebami. W ramach udogodnień architektonicznych w ratuszu przy Placu 20 Października 1 zamontowano ścieżki i pasy ostrzegawcze prowadzące od wyjścia z windy do punktu kontaktowego Zespołu Obsługi Klienta na parterze oraz na klatce schodowej; zainstalowano też tabliczki informacyjne z alfabetem Braille’a. W obydwóch budynkach urzędu (Plac 20 Października 1 i Mickiewicza 10) oznakowano schody zewnętrzne. Jest też możliwość korzystania z pętli indukcyjnej, czyli środka wspomagającego słuch. Łączny koszt wymienionych działań wyniósł 41 943 zł.





63-100 Śrem
ul. A. Mickiewicza 89
tel/fax: 61 2835938
www.muzeum.srem.pl
e-mail: muzeum@srem.pl



Półkolonie

Po ponad rocznej przerwie Muzeum Śremskie wróciło z propozycją półkolonii dla dzieci. Podczas tegorocznej akcji lato zaproponowaliśmy dwa turnusy półkolonijne, w lipcu dla młodszych dzieci, w sierpniu dla starszych.

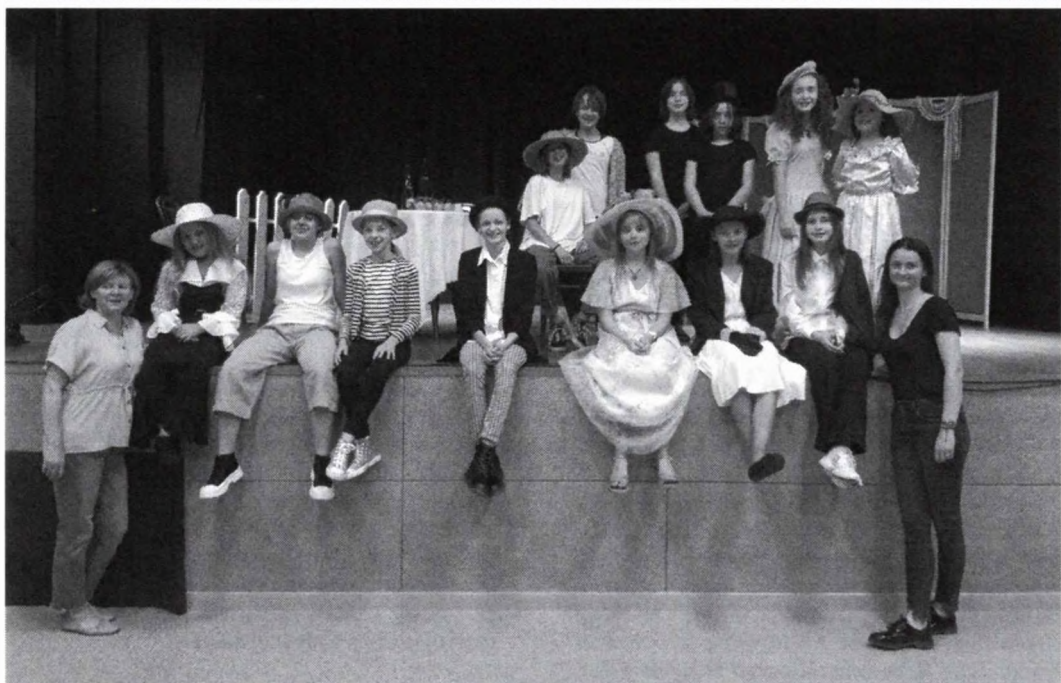
W dniach 19-23 lipca, 15. uczestników rozpoczęło swoją zabawę na półkoloniach *Ahoj przygodo!*. Drugiego dnia turnusu wyruszyliśmy na wycieczkę do Muzeum Arkadego Fiedlera w Puszczykowie, gdzie razem z przewodnikiem obejrzelśmy wystawy oraz ogród. Wyjazd był bazą do tematycznych zabaw w trakcie kolejnych dni, podczas których dzieci miały okazję zapoznać się z różnymi kulturami – indiańską, afrykańską i egipską. Dzieci podzielone na plemiona tworzyły totemy, robiły maski, tipi, pióropusze, tworzyły tradycyjne stroje oraz biżuterię. Bawiliśmy się w podchody, polowanie na bizona, tworzenie mumii. Każdego dnia był także czas na kreatywną pracę plastyczną (koty metodą kropkową, maski, łuki itp.). Oczywiście nie zabrakło gier i zabaw w ogrodzie muzeum, cieszących się zawsze bardzo dużym zainteresowaniem.

Turnus sierpniowy nosił tytuł *Teatralna przygoda* (Projekt WWW, czyli Wakacyjne Warsztaty Wyobraźni). Odbывał się w dniach 16-20 sierpnia i przeznaczony był dla dzieci od 10 lat. W ra-

mach turnusu zaproponowaliśmy warsztaty teatralne, które prowadziły Panie Wiesława Łabutka i Małgorzata Bulińska. W programie była wyprawa do krainy sztuki, podczas której uczestnicy poznali teatr od kuchni, zgłębili tajniki pracy malarza artysty sprzed wieków, poznali wizję sztuki przyszłości na przykładzie twórczości Sophie – humanoidalnego robota oraz spróbowali swoich sił w przemówieniach motywujących. Warsztaty teatralne zakończono piątkowym występem dla rodziców. Poza tym uczestnicy brali udział w zajęciach kreatywnych (makrama, filcowanie itp.). Podobnie jak podczas pierwszego turnusu nie zabrakło czasu na relaks oraz gry i zabawy na świeżym powietrzu.

Oba turnusy, po raz pierwszy, odbyły się w sali widowiskowej Muzeum Śremskiego.

Fot. na stronie obok. U góry: pierwszy turnus półkolonii – wizyta w Muzeum Arkadego Fiedlera. U dołu: drugi turnus – próba na scenie sali widowiskowej MŚ. Fot. MŚ





Syndrom Paryski w amfiteatrze MŚ, fot. Grzegorz Pawlak

Muza w Muzeum

Tegoroczny, trzeci już sezon Muzy w Muzeum trwał sześć tygodni, począwszy od ostatniego weekendu czerwca. Łącznie w amfiteatrze i sali widowiskowej zaprezentowało się 16 zespołów (z czego połowa to grupy ze śremianami w składzie). Nowe płyty zaprezentował śremski The Shvagiery i poznański Syndrom Paryski ze śremskianinem w składzie. Zagrali również The Indigo z Kalisza, Jutuber z Krakowa, poznańskie Part of the Kitchen, Hungry Blues, Last Time i Appleseed, Nadmiar z Piły, warszawski Daysdaysdays oraz Yorba z Wrześni. To była różnorodność gatunków i stylów: od melodyjnego rocka, poprzez bluesa, pop, funky, punk, po ostre gitarowe granie. Najważniejszym wydarzeniem w tym sezonie był chyba koncert: Śrem Akustycznie z udziałem Korka, The Shvagiery, Roxany Tutaj & Good

Omen, K & Gentlemen, Bartka z piekła i Gustave. Świeże aranżacje, zaskakujące niekiedy instrumentalium i nowy image sceniczny wykonawców sprawiły, że wydarzenie nabrało unikalnego charakteru i spotkało się z żywiołową akceptacją publiczności.

Poza piątkowymi koncertami w lipcu wybrzmiał również rap – Manolo Fest czy najpiękniejsze przeboje Anny Jantar w wykonaniu Katarzyny Zawady. W sierpniu w amfiteatrze zdarzył się wieczór „dźwięków innych” – z muzyką i piosenką improwizowaną na żywo wystąpili śremskianin Louis Crystal i Sambor Dudziński. Muzycznym zwieńczeniem tegorocznych wakacji był dwuczęściowy koncert muzyki Lecha Nawrockiego promujący nową płytę *Synergia*.



63-100 Śrem
ul. Grunwaldzka 10
tel: 61 2835467, fax: 61 2837774
www.biblioteka.srem.pl
e-mail: info@biblioteka.srem.pl



4.09.2021

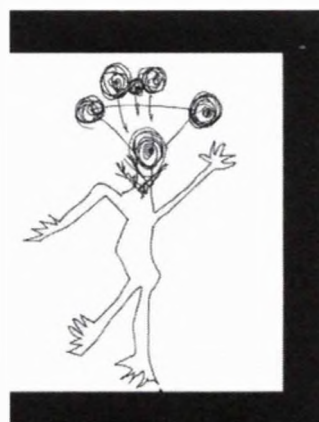
Gabriela Zapolska

MORALNOŚĆ PANI DULSKIEJ

Zapraszamy 4 września 2021 r.
od godz. 10:00 do 12:00
do ogrodu Biblioteki
przy ulicy Grunwaldzkiej 10



PATRONAT HONOROWY PARY PREZYDENCKIEJ



QuaRunTina

Matylda Lepieśa - wystawa
17.09.2021 – 01.10.2021



MAREK PINDRAL

POCZTÓWKI ze świata

Uniwersytet
ludzi ciekawych świat@

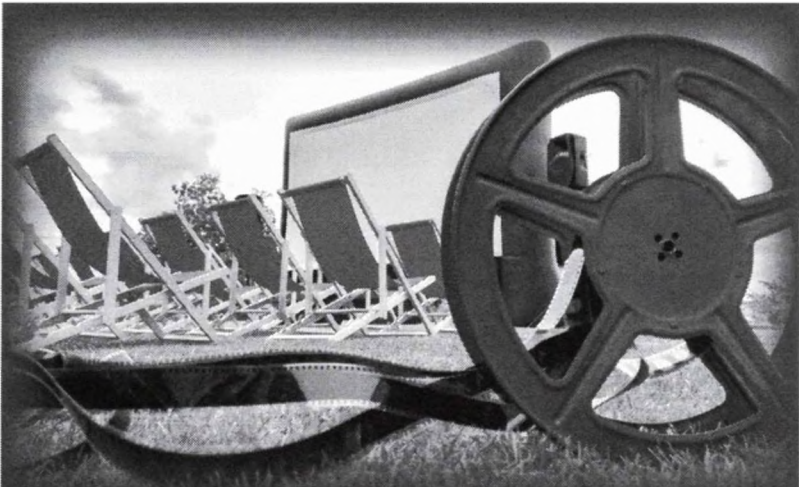
30 września 2021
g18:15



Pocztówki ze świata

wykładowca: Marek Pindral

Marek Pindral odwiedził kilkadziesiąt krajów, poza Polską zamieszkując na dłużej także w Wielkiej Brytanii, Chinach i Omanie. Swoimi wrażeniami dzieli się pisząc artykuły prasowe, przygotowując wystawy fotograficzne i pokazy multimedialne. Także książki – przetłumaczył na język polski myśli jednego z hinduskich awatarów („Sai Baba, rozważania na każdy dzień roku”), w 2013 ukazała się jego książka, poświęcona Państwu Środka („Chiny od góry do dołu”), w 2015 „W cieniu minaretów. Oman” (pierwsza polska książka o tym kraju), w 2018 „Indie czyli świat”, a w 2019 drugie, autorskie wydanie „Chin”.



KINO PLENEROWE

TWÓJ POMYSŁ - NASZA REALIZACJA

-  **Kompleksowa organizacja**
profesjonalnie obsłużymy Twój pokaz nowoczesnym sprzętem
-  **Komfort widzów**
przywieziemy ze sobą wygodne leżaki
-  **Dobór repertuaru**
pomoczymy w wyborze odpowiedniego filmu, który zachwyci Twoich widzów
-  **Formalności**
pozyskamy licencje oraz nośniki z filmem

 śremski ośrodek kultury

tel. 61 28 35 904 | 889 647 418
biuro@sok-srem.pl

SCENA TEATRALNA KINOTEATRU SŁONKO
I TEATR WARIATE
ZAPRASZAJĄ:

Eliksir Mądrości



16 WRZEŚNIA GODZ.: **17:00**

DZIECI: 10zł DOROŚLI: 20zł

BILETY DO NABYCIA PRZESERWIS BILETY24.PL ORAZ W ŚREMskim OŚRODKU KULTURY

 Śremski Ośrodek Kultury **Bilety** 24

Decyzja o...



Zmiany w...



Zmiany w...



Przebieg...





Drzewo na straży Parku Im. Powstańców Wielkopolskich, rys. Tomasz Mazurczak

Gazeta Śremska

siedziba redakcji – Muzeum Śremskie
63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
tel: 61 2835938, kom: 533 875 030
e-mail: gazeta@muzeum.srem.pl, www.muzeum.srem.pl

Wydawca:

Muzeum Śremskie; 63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń
i reklam oraz zmiany programów i terminów
wprowadzone po oddaniu numeru do druku.

Redagują:

Mariusz KONDZIELA (redaktor naczelny)
Ewa NOWAK (redaktor prowadząca)
Katarzyna TOMCZAK (korekta)

Na okładce:

I – Dobrochna Łowicka, Dłonie
IV – Fot. Piotr Pieczykolan

Skład:

Samuel Bednarski

Druk:

via drukomatic.pl

Tak
 jest,
 było,
 tak
 się mówiło

Sklep i pracownia szewca Stanisława Gawrońskiego, wielkopolski skład kawy i sklep K. Krajewicza w kamienicy przy ulicy Kościuszki w Śremie (formalnie Dąbrowskiego 8).

Obecnie w kamienicy mieści się zakład zegarmistrzowski Pawła Nowaka i sklep odzieżowy, dawne „trzy okna” należące do rodziny Mietlińskich.



Fot. z kroniki ROD im. Stanisława Gawrońskiego w Śremie



Fot. Piotr Pieczykolan, 2021



ISSN 1232-7476



09

9 771232 747100